



TRZY MIŁOŚCI JEANA GABINA

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 24 (1018)
12 CZERWCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



ŁÓDŹ

MIROŚLAW KUŹNIAK

DYNASTIA ZNAD JASIEŃ

W konkursie na reportaż o Łodzi Mirosław Kuźniak otrzymał drugą nagrodę za reportaż pt. „Dynastia znad Jasieni”. Publikujemy poniżej obszerny fragment tego reportażu.

Ksieży Młyn, to stare i ciche osiedle. A przecież nie zawsze tak było. W 1892 roku na Szelegynu wrzało. Piątego maja, w czwartym dniu strajku, gubernator piotrkowski K. Miller, wydał następujące ogłoszenie:

OGŁOSZENIE PETRKOWSKIEGO GUBERNATORA

m. Łódź, dn. 23 kwietnia (5 maja) 1892 roku.

Robotnicy fabryczni, niezadowoleni z postępowania właścicieli fabryk, mają zupełnie prawo znosić skargi do sądu, inspektora fabrycznego i do mnie i ani jedna słuszna skarga lub pretensja nie była i nie będzie pozostawiona bez prawnego zadośćuczynienia.

Tymczasem robotnicy rozmaitych fabryk m. Łodzi, wbrew przepisom prawa i widocznie bez wszelkich do tego uzasadnionych przyczyn i bez uprzedniego na dwa tygodnie zawiadomienia o tym fabrykantów, zaprzestali pracować i następnie tłumnie chodzą po miście.

Dla przywrócenia prawnego porządku:
1. radzę wszystkim robotnikom, ażeby ze względu na ich niezbędne potrzeby niezwłocznie powrócili do swoich zajęć;
2. najsurowiej zabraniam wszelkich zbiorowisk na ulicach, drogach i na podwórzach fabryk (...).

Petr. gubernator diejstw.
st. sow.
K. MILLER

Do strajku, który rozpoczął się 2 maja 1892 roku w kilku małych łódzkich fabrykach, m. in. u Birnbauma i Kirsta, trzeciego dnia przyłączył się Pfaffendorf. O siódmej rano Józef i Marcela Krakowscy na wezwanie Aleksandra Bieniaka i Karola Rufa nie stanęli przy maszynach. Niewiele jest relacji o tamtych dniach i godzinach; te, które przetrwały różnią się w wielu szczegółach. Na przykład nie wiadomo, których robotników Pfaffendorfu wybrano do delegacji. Wiadomo, że z delegacją robotniczą konferował ówczesny dyrektor i współwłaściciel firmy, Herbst. Może był wśród nich, cieszący się szacunkiem cieśla, Józef Krakowski? Zachowała się we wspomnieniach uczestników „Buntu łódzkiego” taka oto rozmowa delegacji z dyrektorem Herbstem (cytuje za A. Próchnikiem):

DELEGACJA: Żądamy usunięcia z firmy dyrektora Hugo (był to znieprawdzony powszechnie za nieludzkie obchodzenie się z ludźmi, dyrektor do spraw pracowniczych).

HERBST: Zobaczcie, idźcie do roboty.
DELEGACJA: To jeszcze nie wszystko, prosimy wielmożnego pana o podwyższenie płacy o 15 procent i zmniejszenie godzin pracy z 12 na 10.

HERBST: To nie ode mnie zależy, ja zrobić tego nie mogę, rozmówię się z panem Scheiblerem i innymi — idźcie do roboty.

DELEGACJA: To niech pan przynajmniej żonaty podwyższy, my z żoną-

mi i dziećmi obstać za tę pracę nie możemy.

HERBST: To po kiego diabła się żenicie, jeżeli nie, macie na to, to się nie żenicie.

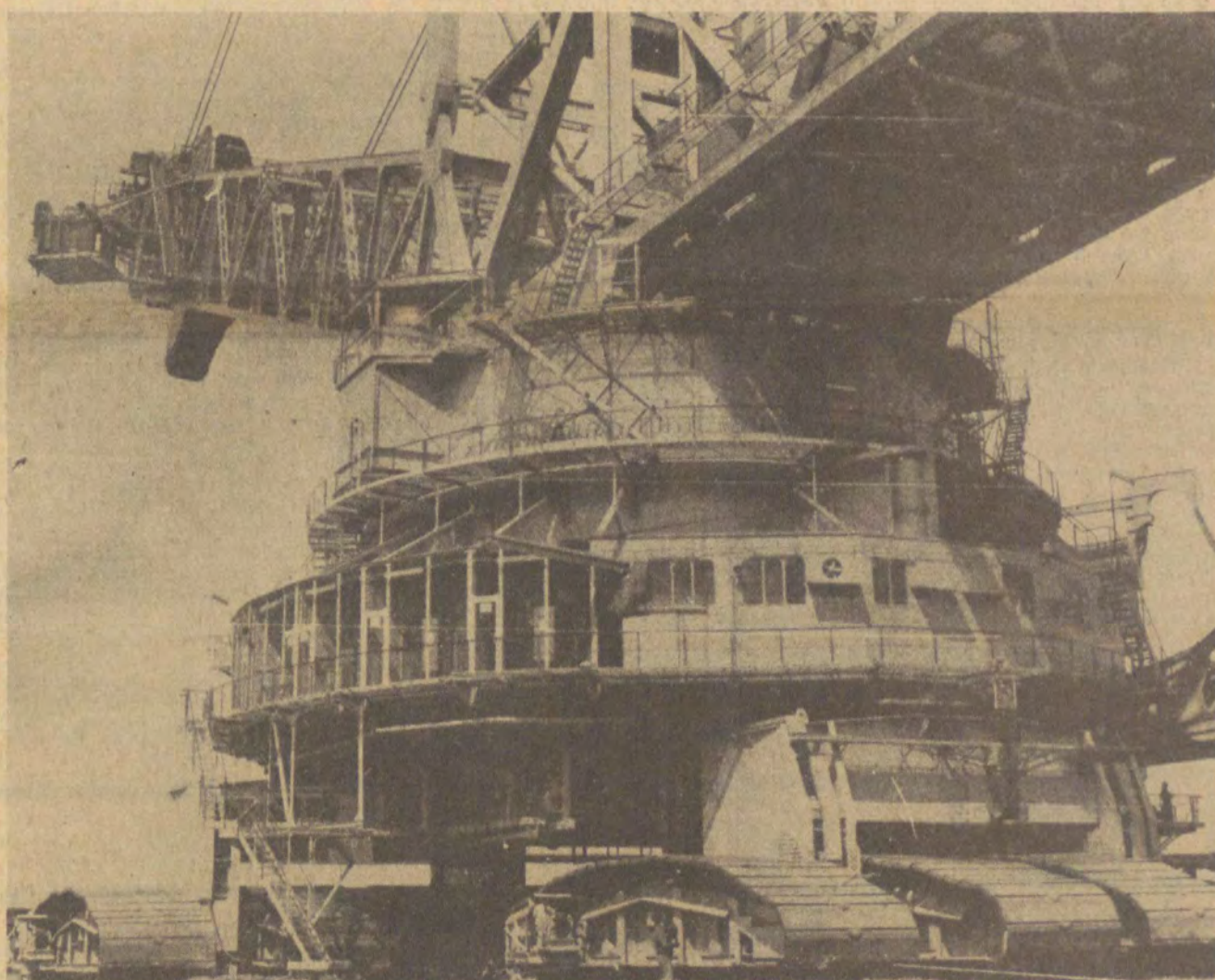
DELEGACJA: Du verfluchter, ty lajdaku, ty psiakrew, oddaj nam swoją żonę i córkę... Iż go, jak! Medrek. Bie ścierwo po mordzie i tyle.

Herbst uciekł.

„Bunt łódzki” opisany został przez wielu historyków. Dla mojego bohatera — mimo, iż strajk, jak podają źródła — zakończył się pozornym sukcesem robotników (Scheibler o godzinę zmniejszył czas pracy, podporządkował się także nakazowi nie przyjmowania majstrów nie znających języka polskiego lub rosyjskiego) — nie zakończył się szczęśliwie. W ciągu sześciu dni strajku domagano się nie tylko wyrzucenia dyrektora Hugo, ale także kilkunastu majstrów — Niemców, szczególnie zajadłych dla polskich robotników. Był wśród nich także i Neumann, majster Krakowski. Wyrzucili go scheiblerowscy stolarze i cieśle już pierwszego dnia za bramę, zdrowo go przy tym naszturchawszy. Po strajku Herbst z powrotem przyjął Neumanna i od tej chwili nastąpił dla Józefa ciężkie czasy. Obrzydzał mu Neumann życie, gonił, obcinał przy każdej okazji po kilkanaście kopiejek dzien-

Dalszy ciąg na str. 5

BELCHATÓW



WIESŁAW MACHEJKO

ODLICZANIE przed STARTEM

Czytaj na stronie 8

HANDEL

Zdarza się przecież i tak, że wybieramy się do sklepu najbliższego położonego naszego miejsca zamieszkania i zastajemy na drzwiach jeden z wymienionych napisów: „Sklep zamknięty”, „Remanent”, „Inwentaryzacja”, „Przyjęcie towaru”, „Wyszedł do biura”, „Wracam o godz. 14”, „Sklep zamknięty z powodu choroby personelu”, „Sklep zamknięty z powodu urlopu”. Idziemy wtedy do najbliższego sklepu, klniemy pod nosem, ale zakupy trzeba przecież zrobić.

Lucjusz Włodkowski

ZAMKNIĘTY SKLEP str. 3

TURYSTYKA

Odeszli „GI's”, poszli sobie amerykańscy żołnierze, przybyli „Germans” z RFN.

Podczas wojny wietnamskiej amerykańscy boys z ogromnym upodobaniem spędzali urlop w Bangkoku. Nie kryli zachwytu. Bangkok opiewali. Rozglądali się, że jest to jedno z najcudowniejszych miejsc na tej ziemi. Mieli swoje racje po temu. Stolica Tajlandii zyskała sobie opinię wielkiej strefy „wolnego odstrzału”. W tym seksualnym sensie. Polowano. A zwierzyną łowną to już było w nadmiarze. I każdy strzał dochodził celu. Takie osławione spełniny jak „The Texan” czy „The Mississippi Queen” weszły niemal do historii amerykańskiej wojaczki.

Prawie nazajutrz po odpłynięciu „GI's” do Bangkoku zawitali turyści z „Bundesrepublik”. W zeszłym roku przewinęło się ich przez Tajlandię blisko 80.000. W tym roku tajlandzkie domy wschodnich rozkoszy licza na większe duże obroty. Dzwonne rzeczy dzieją się w Bangkoku. Z ulic Bangkoku angielski poznał zupełnie. W salonach artystycznego

boje do innych też dzielnic. Ci ludzie hasają jak szaleni po całym Bangkoku. Jest za czym. „Horyzontalna profesja”, uprawiana w stolicy Tajlandii 100 000 młodziutkich dziewcząt zgromadzonych w 150 hotelach i 200 salonach piękności. Tych innych placówek rozrywkowych nikt ani zliczy. W Bangkoku otwarto ostatnio 10 „Deutsche Bier Garten”.

Czasem cała ta zabawa kończy się nagle i nader też smutno. Niedawno odezwał się w ambasadzie RFN w Bangkoku telefon. Portier jednego z hoteli zawiadomił beznamiętnym głosem, że pewien obywatel „Bundesrepublik” tego nie wytrzymał. Wysiadło serce. Gość odszedł w łóżku. Był w towarzystwie. Za duże to było dla obciążenia. Porwał się na wyczyn, ale dawka okazała się za silna. Sorry, es tut mir leid. Zwioki są do odebrania.

Co ściga godnych szacunku obywateli „Bundesrepublik” aż do Tajlandii, skoro czegoś takiego, ale „eros-centres” to już nad Renem nie brakuje na pewno. Spytaj o to Franza z

AZJATYCKIE ROZKOSZE

masażu, w domach piękności i gorących łaźniach rozbrzmiewa już tylko niemiecki. Podróż z RFN do Tajlandii załatwia znane biuro turystyczne „Neckermann Reisen”.

Za tygodniowy pobyt w Bangkoku trzeba wybulić 560 dolarów. Słono. Wielu z groszem się nie liczy. Wielu ma nadzieję, że gdzieś tam na Dalekim Wschodzie u boku cór tajlandzkiego Koryntu spełnią się najśmielsze marzenia o nadziemskich rozkoszach. Oczywiście, bez przesady. Nie wszyscy udają się do Tajlandii w pogoni za erotycznym doznaniem rodzaju szczególnego. Bywają turyści, zwłaszcza wiekiem już starsi, lub małżeńskie pary, których interesuje autentyczna kultura Dalekiego Wschodu, ucieleśniona przede wszystkim w niezliczonych kamiennych świątyniach.

Przeważają jednak „Bumsflieger”, poszukiwacze tańców przygod. Ludzie młodzi, lub starsi panowie przeżywający drugą młodość. Wszyscy oni, po wylądowaniu, udają się natychmiast na osławioną „Patpong-Road”. Pchała się by to zobaczyć na własne oczy i przeżyć na własnej skórze. O cóż chodzi. Czy nie wolno? Tyle życia co użycia. Cóż można zrobić, u diabła, innego? Kogo siły nie opuszczą, kto dość ma jeszcze męskiej siły witalnej i amunicji w magazynku, rusza upojony uczuciem błogości na dalsze pod-

Koblencji to odpowie, mrząc jedno oko. — O nie, to nie to samo. To jak z samochodem, każdy wóz niesie nieco inaczej. Zresztą co za porównanie. Tajlandzkie dziewczęta są drobniejsze, nie tak grube jak nasze Berty. Są ciemniejsze, powabniejsze, przyjemniejsze, o wiele, wiele słodsze. Robią to z wdziękiem. Wiedzą, co i jak. Czasem ma się wrażenie jakby się dostało w maszynkę do wyciągania soków. One znają te chińskie, indyjskie i japońskie sztuczki. Przy tym są o wiele tańsze. Panie drogi, przez jedną noc przeżyje się w Bangkoku więcej niż w Koblencji przez całe życie.

W Bangkoku mówi się po niemiecku. W Bangkoku dziewczęta są obojętne i wesołe. Tylko że w tym wszystkim jest pewne ale. Od roku wielki ruch panuje w bawarskich i nadreńskich ambulatoriach dermatologicznych. Ponoć trudno to wyleczyć. Wiadomo, azjatycka grypa... Taki lues do kwadratu. Ponoć nawet penicylina choćby wspomaganą salvarsanem nie bardzo na to skutkuje. Co kiedy powodowały wojny i żołnierskie ekscesy, teraz przynosi ze sobą międzykontynentalna turystyka-wzrost i to silny wzrost wenerycznych zachorowań. To produkt uboczny turystyki w ogóle. W „Bundesrepublik” o wyjątkowo ostrym „daleko-wschodnim” charakterze.

HARHARA

KSIĄŻKA

WĘDRÓWKA PO NAJPIĘKNIJSZYM KRAJU

Oto cztery najczystsze przywary książek — reportaży po dalekich krajach:

— wawatowanie tuzinkowych spostrzeżeń pożyczkami z baedekerów, w skali większej nawet niż pół na pół;

— natrętne epatowanie egzotyką — w wyniku czego przekazy czytelnikowi obraz danego kraju tak się ma do jego codziennej rzeczywistości jak miaby się do niej dla przykładu wizerunek Polski oparty wyłącznie na wrażeniach ze sklepu Cepelii i kiermaszu dla uczczenia jakichś „dni”;

— poświęcanie większej uwagi przeżyciom (samopoczuciu, elokwencji, umiejętności dawania sobie rady w osobliwych warunkach postrzegającym niż postrzeganiem);

— upolitycznianie przez siłę, wyłączenie przypasowywanie relacji do niekontrolowanego, a znakomicie świadczącego o żarliwości, autora, schematu: całkowicie mocne wczoraj i absolutnie świetliste Dziś.

Książka, którą właśnie rekomenduję, jest — co nie zdarza się często — równie czysta od smazy tych przywar co, jak wynika z relacji Wakara, niebo nad kubańską autostradą Via Blanca.

Bynajmniej nie chcę twierdzić, że w książce Wakara o tym najdalszym geograficznie z krajów naszego obozu nie znajdują się dwa lyki (może i więcej) egzotyki, czy że autor — historyk z wykształcenia i pasji badawczych — zapominał pisać ją o pożytkach posługiwania się literaturą przedmiotu. Nie twierdzę też, że Wakar nie zainteresował się tetnem życia politycznego „czerwonej wyspy”. Stwierdzam natomiast, że „Wędrując przez Kubę” jest dość rzadkim ostatnio przykładem przestrzegania starej, ale jarej zasady „aurea mediocritas” oraz lojalności wobec czytelnika.

Ta lojalność kazała właśnie Wakarowi nie przyjmować nagminnie w naszych dzisiejszych reportażach pozy wszechspieca od opisywanych spraw. Nie robi z siebie prostaczka, ale i nie ukrywa w ciągu całej książki faktu, że wie tyle tylko, ile mógł dowiedzieć się w ciągu trzech miesięcy pobytu wójazer z pierwiastkową znajomością hiszpańskiego, ogólnohumanistycznym przygotowaniem i darem obserwacji. Przyjęcie takiej postawy sprawnie i wierzmy autorowi w pełni i nie bierzemy poprawki ani na „pewno załal”, ani na owo podytkowane weszłą w krew nieufnością „musiał

tak napisać”. Nie bierzemy poprawek, bo identyfikujemy się niejako z autorem, towaryzujemy mu, dzięki tamtej postawie, w poznawaniu wyspy, o której w 1492 r. pisał do króla Hiszpanii jej odkrywca Kolumb, że „jest to najpiękniejszy kraj, jaki kiedykolwiek oglądało oko ludzkie”. A ponieważ towaryzujemy, o kolejności poznawania Kuby będą decydowały nie jak w monografiach czy tak częstych ostatnio reportażach pozornych kryterium chronologii historycznej czy hierarchia ważności, lecz właśnie logiczna kolejność stawiania na obym terenie pierwszych i dalszych kroków. Stąd rzadka chyba w sztwniackiej praktyce reportażowej kolejność rzeczy, że w pierwszym akapicie książki poznajemy modny szlagier lodniowoamerykańskiego pioniarza, a dopiero w czwartym i dziesiątym rozdziale świeże dzieje Wyspy i osiągnięcia rewolucji kubańskiej. Autor wprowadza nas w kolejności „z marszu” w sprawy diametralnie nieraz różne i o różnym ciężarze gatunkowym. Oglądamy już to bogate wille pozostawione przez uciekinierów politycznych czy znieuromialych czujnie tuż za wodami przybrzeżnymi krążownik USA, już to zwiedzamy rezerwat krokodyli, już to zostajemy wprowadzani w złożone arka dziejczycologii stosowanej, a nawet i w takie dziedziń wiedzy tajemnej, jak ta, co noszą Kubanki pod sukienką. Przy innej okazji dowiadujemy się ze zdziwieniem, że w tym osobliwym kraju mierzniem stopy życiowej nie jest posiadanie czy brak samochodu (wszyscy mają), lecz posiadanie czy brak wentylacji w mieszkaniu.

Pokazywanie zjawisk i obrazków rodzajowych z różnych parafii w kolejności pozornie przypadkowej, to metoda wcale nienowa (i Wakar siegał po nią nie jest nowatorem), tyle że ostryżowana praktycznie od szeregu lat przez popisywaczy pseudoprzyprawnością. Nienowa, bo w plastyce odkryli ją na przykład jeszcze w zaraniu dziejów sztuki wynalazcy mozaiki. Zastosowana tu przez Wakara (który odświeżył zarzuconą konwencję) metoda „mozaikowa” właśnie pozwala, i to bez niepokonywalnych trudności, na oddanie barwy i złożoności tamtego dalekiego, choć bliskiego życia w całej jego żywej barwności i grze kontrastów.

Nastrojem dominującym w „Wędrując przez Kubę” jest pogoda. Ale rzecz nie jest o Arkadii (owe krążowniki pod flagą w pasy i gwiazdy wciąż stoją tam na granicy wód terytorialnych) i autor nie pisze sielanki ani też dytambu. Na kartach pogodnej książki dostajemy, obok imponujących osiągnięć tego kraju po rewolucji, również i bolączki nie przewyżnione jeszcze, jak relikty prostytucji, kontrasty stopy życiowej czy anomalie rynkowe wyniki z blokady. Z rzeczy mało radosnych, któreż reportażysta zasynalizował z rzetelnością obserwatora, wymiemy jeszcze małą dynamikę eksportu towarów i myśli polskiej na „najpiękniejszą wyspę świata” (Jesteśmy na tych polach pod każdym względem dystansowani przez Czechosłowację), nader niedostateczną wiedzę o naszym kraju wśród mieszkańców Kuby, nawet z cenzurem, i brak należytą troski naszych instytucji o tamtejszą polonię, zresztą szczupłą. I w tym miejscu nasuwa się uwaga krytyczna czy raczej pretensja do autora — za skwitowanie uśmiechem sprawy bynajmniej nie zabawnej. Okazuje się, że Kubańczycy wśród swych bohaterów niepodległościowych z czasów walk z Hiszpaniami wymieniają zapoznanych przez polską historiografię Polaków — generała Ruloff-Miałowskiego, późniejszego ministra pierwszego rządu republiki oraz oficera Jana Zybikowskiego. Historyk Wakar nie powinien poprzestać na niefrasobliwym przyznaniu się, że nic oowych walecznych rodakach nie słyszał, ale starać się usunąć tę zenującą lukę w naszej pamięci o tych, co naszą i ich wolność... Zwłaszcza, że to bądź co bądź drugie wydanie kubańskiego reportażu.

„Wędrując przez Kubę” napisane jest lekko, piórem uderzającym sprawnym. Pochwalmy przy tym autorską umiejętność komponowania lekkich, pastelowych obrazków, instrumentalizacji prozy i posługiwania się niebanalnym zestawem figur stylistycznych, w tym epanalepsy i powtórzenia wariacyjnego (w rozdziale „Noce Hawany”).

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

*) Andrzej Wakar, „Wędrując przez Kubę”, wyd. „Pojezierze”, Olsztyn 1976. Wydanie drugie poprawione; cena zł. 30.

INFORMACJE

Festiwal orkiestr strażackich

W dniach 23—25 czerwca br. już po raz czwarty odbędzie się w Koszalinie finał dorocznego ogólnopolskiego festiwalu orkiestr dętych Związku Ochotniczych Straży Pożarnych. Do konkursów eliminacyjnych przystąpiło ponad 600 zespołów, z których wyłoniono grupę 49 orkiestr.

Ogólnopolski festiwal orkiestr dętych OSP, zainicjowany przed czterema laty, jest najważniejszą imprezą kulturalną amatorskiego ruchu kulturalnego ochotniczego strażnictwa.

Konkurs na reportaż

Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Rzeszowie przy współudziale Wydziału Kultury tamt. Urzędu Wojewódzkiego oraz wychodzących na tym terenie pism literackich organizuje konkurs na reportaż o tematyce społecznej. Prace zgłoszone na konkurs powinny ukazywać w sposób pełny i artystyczny rozwój życia społecznego, kształtowanie się i dojrzewanie postaw ludzi i zespołów będących współtwórcami społecznych przemian, dawać autentyczny obraz tych przemian wraz z ich trudnościami, konfliktami i sukcesami. Organizatorów interesuje tematyka wiejska.

Konkurs o zasięgu ogólnopolskim ma charakter otwarty. Należy nań nadsyłać nie publikowane dotychczas w jakiejkolwiek formie reportaże, których objętość nie jest ograniczona. Termin nadsyłania prac upływa 31. X. br. Adres: Magazyn Młodzieżowy „Prometej” Rzeszów, 35-064, ul. M. Fornałskiego 3. Do przesyłki należy dołączyć kopertę zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Organizatorzy przewidują nagrody: I — 15 tys. zł, dwie II po 10 tys. zł, trzy III po 5 tys. zł oraz cztery wyróżnienia po 3 tysiące złotych.

Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli

Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli w woj. sieradzkim jest organizatorem wielu wystaw malarstwa, rzeźby, występów teatralnych, konkursów literackich itp. Nadesłane na jeden z takich konkursów prace „Zduńska Wola — miasto mojej młodości” wzbogaciły wiedzę o tym ośrodku robotniczym z lat międzywojennych, zwłaszcza o historii postępowych ruchów społecznych. Konkurs na exlibris i znaczek Towarzystwa ujawniły nowe talenty plastyczne.

Wolborski skansen

W Wolborzu, w sąsiedztwie trasy szybkiego ruchu Warszawa — Katowice powstanie skansen budownictwa ludowego z terenu woj. piotrkowskiego. W pierwszym okresie na powierzchni ok. 10 ha w skansenie zostanie zgromadzonych ok. 20 zabytkowych obiektów budownictwa drewnianego, głównie z rejonów Opoczyńskiego, Rawskiego i Piotrkowskiego. Znajda się tu również obiekty z terenów, na których powstaje zagłębie górnictwo-energetyczne „Bełchatów”.

„Lalka” w 27 odcinkach

W Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi dobiegają końca prace nad udźwiękowieniem filmu „Śmierć prezydenta” w reż. Jerzego Kawalerowicza. Zakończono również zdjęcia do zaplanowanego na 27 odcinków serialu wg „Lalki” Prusa w reżyserii Ryszarda Bera. Aktualnie nakreśla się także kolejny serial telewizyjny pt. „Życie na goraco”, reżyser Andrzej Konic. Dotychczas ta najstarsza i największa w Polsce wytwórnia zrealizowała 288 pełnometrażowych filmów fabularnych oraz 418 filmów telewizyjnych.

LISTY

W STRYKOWIE

Z prasy dowiedziałem się, że: „W 400 rocznicę śmierci pierwszego drukarza polskiego, strykowianina LAZARZA ANDRYSOWICZA odbędą się w Strykowie dwudniowe uroczystości. W sobotę, o godz. 18, w DOMU KULTURY wieczornica...” Przeczytałem, pojechałem. Autobus, jak to w sobotę, przepeliony, ledwie miejsce zdobyć można. Ale opłaciło się. Miła, ładnie urządzona sala D.K. w Strykowie pełna była gości. Na ścianach wystawa akwafort dzieci. Rozmieszczono też planse odbitek starych druków jako materiał uzupełniający prelekcję. Na dworkim stole ciekawa i rzadko dostępna czytelnicznikom bibliotek wystawa książek-cymeliów, pięknych okazów dawnego druckarstwa. Dwa małe podesty-schodki. Ciemne draperie. Pięk kutych z żelaza świeczników.

Mały, na biało-niebiesko ubrany chłopek wychodzi

przed słuchaczy. Wita grzecznym „dzień dobry”. Uruchamia dyskretnie umieszczony magnetofon. Muzyka barokowa w wykonaniu kapeli bydgoskiej. Na tle owej muzyki występy pięciorga młodocianych wykonawców.

Prelegent, bardzo autorytatywna w przedmiocie postać, przez bibliofilów łódzkich rozpoczął od słów:

— Po tych wzruszeniach właściwie nie tu po mnie... Ale po tym wszystkim dwie refleksje:

1. Nie ujawnił się na tej uroczystości przedstawiciel Związku drukarzy, poligrafów. I to w ich święto, w „Dzień drukarza”. Był przedstawiciel Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi, byli przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych Strykowa. Z drukarzy nikogo nie było.

2. Gdzie się podziały, gdzie w czasie zagubili owe piękne imprezy młodzieżowe urządzone przez TPL w sali obrad Rady Narodowej w Łodzi? Owe

korowody obrazów, inscenizacji, recytacji, śpiewów zdolnej, zapalonej do popisów młodzieży zgromowanej w licznych Kołach Szkolnych TPL?

WL. LIPiNSKI (Łódź)

„WZIĄC ZADEK W GARSĆ”

Jako stały i pilny czytelnik drawy literackiej natknąłem się w „Odgłosach” z 29 maja br. na celny komentarz Konrada Frejdliha „Wziąć zadek w garsć”. Z komentarem, muszę to wyrazić, w pełni się solidaryzuję, bowiem obserwuję od dłuższego czasu niby krytyczną działalność p. J. Tyneckiego i mam po każdej jego publikacji uczucie niesmaku i... niedowierzania. Bo, jak np. wytłumaczył fakt, że czlowiek, który uważa się za naukowca i dydaktyka może przekazywać, jakies tam prawdy swoim uczniom — studentom, dysponując wyłącznie insynuacją, po-

mówieniem, ocenami zaprzeczającymi wszelkiemu obiektywizmowi w sztuce. Mało tego p. J. Tynecki kompensując sobie jakies tam zadawnione urazy wobec środowiska łódzkiego czy też ujawniając swoje kompleksy niemożności stania się krytykiem, cały swój aparat „Krytyczny” nastawił na beinteresowną zawiść, deprecjonowanie wartości literackich (niezależnie od tego co piszą i uważają inni), wbrew kodeksowi etycznemu pisarzy i twórców w ogóle. Rozumiem, że będąc doktorem filologii, chciałoby się jeszcze rozdać laury i lania, ale p. J. Tynecki musi zrozumieć, czego, niestety, chyba dotychczas nie pojął, że być krytykiem to mieć wrodzoną wrażliwość, szczególną zdolność wzyjną, szeroki zasięg rozpoznania i wiedzy, a ponad wszystko obiektywność, nawet jeśli ktoś kiedyś nie wydrukował mu jakiegos małego dojrzałego elaboratu. Załuję, ale żadnej z tych cech p. Tynecki nie posiada i byłoby

nailepiej, gdyby z niczym nie udokumentowanych ambicji krytycznych zrezygnował na rzecz swojej pracy naukowej, co być może byłoby z korzyścią dla nauki, a na pewno dla krytyki. Rozważania w „Pojezierzu” miały być w zamierzeniu p. Jerzego Tyneckiego jakimś argumentem w grze, niestety pozabawione odpowiedzialności, stały się niesmacznym kawałkiem, któremu ze zdziwieniem, udzieliła łamów poważna „Pojezierza”. Można jeno dodać, że pisanie p. J. Tyneckiego, jak to zwykle bywa w tego typu insynuacjach zwraca się bezwzględnie przeciwko jego autorowi, co też warto p. J. Tyneckiemu wiedzieć.

Jako stary łodzianin, jeszcze raz wyrażam oburzenie przeciwko elaboratom p. J. Tyneckiego deprecjonującym dorobek tego ambitnego środowiska disarskiego.

JERZY REKAS (Warszawa)

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLIH, WIESŁAW JAŁDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ SOKOŁOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI -GLANC.

Zamknięty sklep

Dalszy ciąg ze str. 1

Handel holdował kiedyś zasadzie — w teorii przynajmniej — że „klient zawsze ma rację”. Mogłoby się więc wydawać, że handel jest dla klienta, a nie odwrotnie. Taka jest przynajmniej teoria. Praktyka jest zupełnie inna. W praktyce klient jest dla handlu. Wyraża się to między innymi w tym, że personelowi sklepów nie wolno samowolnie wywieszać żadnych kartek, zawiadujących o zamknięciu sklepu, gdyż w każdym przypadku musi być na to zgoda odpowiedniego wydziału Urzędu Dzielnicowego, wyrażona pieczęcią przybitą na wywieszce. Wszelkie inne wywieszki są bezprawne, samowolne i jako takie podlegają orzecznictwu kolegium administracyjno-karnego.

30 procent

czasu pracy sklepów traci się na re-manenty. Jeśli dodać do tego — czas tracony na — konieczne przecieże — inwentaryzacje, na dostawy towarów i inne operacje niezbędne ale przeszkadzające w zakupach, to w rezultacie klient nabiera przekonania, że organizacja handlu poważnie szwankuje. Przekonanie to utrwala ją codzienne doświadczenia, kiedy to odnosi się wrażenie, że w sklepach pełno jest towarów, ale kiedy przychodzi do kupna tego, co klient poszukuje, to okazuje się, że właśnie z tym są największe kłopoty.

„Znamy to z własnych doświadczeń — pisała niedawno w „Trybunie Ludu” Irena Dryll — sklep pełen towaru — półki się niemal uginają, a trudno coś z tego wybrać i dobrać dla siebie”.

W sklepach dokonuje się bowiem konfrontacja postępu produkcji z postępowaniem naszych wymagań. Nie ma wątpliwości, że systematycznie rośnie ilość i jakość produkcji oraz wzrasta nowoczesność produkowanych towarów, ale też nie ma wątpliwości, że znacznie szybciej rosną nasze wymagania, bowiem rosną też nasze zapotrzebowania, dysponujący pieniędzmi, starający się o wzrost poziomu życia swojej rodziny, poszukujące coraz nowocześniejszych towarów i oczekujące, że handel zaproponuje mu bardzo różnorodny ich wybór. Ale tak się nie dzieje. Dlaczego?

Wina

leży po obu stronach. To znaczy zarówno po stronie handlu, jak i po stronie przemysłu. Handel bowiem może sprzedawać tylko to, co dostarczy mu przemysł. Klient — jednakże nie dostrzegając tej prostej prawdy i jest skłonny całą winę składać na brak handlu. Nie chce przez to powiedzieć, że „klient ma rację”. Byłoby to niesprawiedliwe dla handlu. Ale tu trzeba przypomnieć inną sprawę, która handel w naszym, socjalistycznym społeczeństwie stawia w zupełnie specjalnej pozycji.

W uchwale VII Zjazdu PZPR można znaleźć następujące stwierdzenie: „Budując rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne, partia uznaje za swój nadrzędny cel i za główną wytyczną działania stworzenie materialnych i duchowych warunków rozwoju człowieka i zaspokojenie jego potrzeb, stworzenie warunków do dalszego podnoszenia poziomu życia naszego narodu”.

Sposobem dla realizacji tego celu jest stworzenie dobrze funkcjonującego rynku. Na to wszakże składa się nie tylko dobrze działający handel, ale też i dobre jego zapotrzebowanie. A z tym — niestety — są niestanne kłopoty.

Ogólnie wiadomo, że rynek nasz

jest nie ustabilizowany. Na rynku występują braki. Raz brakuje tego, innym razem czegoś innego. A klient ciągle nie wie, czego akurat w najbliższym czasie zabraknie. Nie ustabilizowany rynek wpływa na to, że klient kupuje na zapas. A taki system kupowania nie sprzyja dobrej organizacji rynku. Ale trudno w końcu winić za to tylko klienta.

Klient jest skłonny system funkcjonowania rynku rozpatrywać w kategoriach politycznych. Irena Dryll relacjonując w „Trybunie Ludu” posiedzenie zespołu partyjno-rządowego do spraw rynku, zacytowała następującą opinię:

„Rynek we współczesnej gospodarce socjalistycznej, jak wykazały to ostatnie doświadczenia naszego kraju, jest i długo jeszcze będzie nie tylko kategorią ekonomiczną, ale też polityczną, psychologiczną. Siła tych dwóch ostatnich czynników jest szczególnie duża, gdyż poprzez rynek społeczeństwo ocenia cały rozwój społeczno-ekonomiczny kraju: m. in. rynek kształtuje świadomość społeczeństwa i panujące w nim nastroje, które mają znaczny wpływ na szeroko pojętą społeczną wydajność pracy, na zaangażowanie obywatela. Bez dobrego rynku nie można liczyć na długotrwałe zaangażowanie społeczeństwa”.

Klient dysponujący gotówką, chce mieć pewność, że może za nią kupić to, co mu jest potrzebne, lub na co ma akurat ochotę. Spełnienie takiego warunku jest czynnikiem mobilizującym, gdyż wtedy wiadomo, że warto się wysilać, bo rosnące zarobki można zamienić na pożądane przedmioty. Ale — jak do tej pory — wiadomo też, że kupowanie jest niestanną loterią. Trafisz w dziesiątkę lub w zero.

Byłoby niewątpliwie dobrze, gdyby można było rozdzielić na tyle politykę od handlu, na ile jest to możliwe i konieczne. Państwo nie musi handlować pietruszką i sposób handlu pietruszką nie musi kształtować opinii o sprawności działania państwa. Każda najdrobniejsza perturbacja w zaopatrzeniu rynku, wynikająca z czyjejś nieudolności, z błędów w organizacji pracy, w niedoskonałości pracy przemysłu, nie musi natychmiast wywoływać uogólniających opinii, do których tak bardzo skłonny jest każdy z klientów.

Gospodarkę jednakże

rządzą określone prawa ekonomiczne i nie można ich ani pominąć, ani ominąć, ani — tym bardziej — lekceważyć. Trzeba je znać i stosować w życiu. Trzeba studiować i analizować rynek, ale aktualnie stosowane metody analizy rynku wydają się być niezbyt precyzyjne. Chociaż z drugiej strony dokładnie wiadomo, czego nam potrzeba. Na przykład —

aby już pozostać przy producentach — „Społem” poszukuje 200 wyrobów, które zalicza się do grupy „1001 drobiazgow”. Przy czym warto tu zauważyć, że wśród tych 200 wyrobów, które poszukuje „Społem”, 65 zniknęło nagle z rynku. Przemysł przestał je wytwarzać niemal z dnia na dzień. A stało się tak dlatego, że przemysł terenowy, produkujący te „drobiazgi”, został przyłączony do przemysłu zwanego kluczowym, dla którego stał się po prostu producentem części zamiennych i kooperantem.

Przemysł zwany kluczowym dąży do wytwarzania wielkich produktów, temu opłacalnych. Skutki tego są takie, że na przykład brakuje szklank, ale dużo jest kryształów, że popularny „Włocławek” dostarcza wielkie wazy, a nie dostarcza salatek, że nie ma szybkowarów, mydła toaletowego i innych „drobiazgow”, a są artykuły droższe, wyższej wprawdzie jakości, ale mniej poszukiwane. Rzecz przecież nie w tym, aby na rynek płynęły towary albo tylko drogie, albo tylko tanie, ale w tym, aby rynek był tak zaopatrywany, jak tego oczekuje klient, który ma różne wymagania i takie mieć powinien.

Nie bez winy jest handel,

który — jak to powszechnie wiadomo — nie dysponuje sklepami o takiej powierzchni, która odpowiadałaby naszym potrzebom. W Polsce na 107 metrów kwadratowych powierzchni handlowej, w NRD — 470, a w CSRS — 400 metrów kwadratowych. W Polsce na koniec 1976 roku brak powierzchni handlowej w sklepach całego kraju wyniósł 1,4 miliona metrów kwadratowych, a w magazynach — 1,8 miliona metrów kwadratowych. Wynika to stąd, że przeszłość nie pozostawiła nam „w spadku” sklepów odpowiadających naszym potrzebom, a także i stąd, że w poprzednich latach nie potrafiliśmy nadrobić braków.

Dążymy usilnie do rozwiązania problemu mieszkaniowego, jako jednego z warunków poprawy poziomu życia. Nowe domy buduje się dziś niemal w systemie taśmowym, montując je z prefabrykowanych elementów. Sklepy natomiast, pawilony handlowe i usługowe, żłobki, przedszkola i to wszystko, co zwykliśmy określać mianem „budownictwa towarzyszącego” buduje się systemem tradycyjnym bardziej pracochłonnym, wymagającym więcej czasu i materiałów budowlanych. Budowlanym to się nie opłaca, choć jako klienci zdajemy sobie sprawę ze społecznej potrzeby rozwijania takiego budownictwa.

W ŁODZI na przykład — jak to doniósł „Głos Robotniczy” — w pierwszym kwartale 1977 roku wykonano zaledwie 14,3 procent rocznych

zadań. Na osiedlu Czerwony Rynek prace przerwano na okres 4 miesięcy, nie robiono na osiedlu Widzew-Wschód, chociaż według różnych zapewnień właśnie tam budownictwo zwane towarzyszącym miało wyprzedzać budownictwo mieszkaniowe, aby nowe osiedla nie były lokowane w handlowej i usługowej pustyni. Również na osiedlu Retkinia — Zachód prace przy budowie sklepów nie przebiegały — delikatnie mówiąc — w sposób zadowalający. Rezultatem takiej działalności jest fakt, że w niektórych osiedlach parterowe mieszkania przeznaczają się okresowo na sklepy, ale jest to rozwiązanie doraźne i tymczasowe. W takiej sytuacji

handel sam musi budować.

Wydaje się więc, że rozwiązaniem na dziś jest korzystanie z lekkich konstrukcji stalowych i z prefabrykatów. Stawia się je szybko i łatwo i z tej metody korzystają z powodzeniem przedsiębiorstwa handlowe Warszawy, Śląska i innych regionów kraju. Również i w Łodzi postawiono wiele takich konstrukcji, przeznaczając je pod „super-samy”. Takie konstrukcje dostarcza między innymi wytwórnia w Obornikach podlegająca zjednoczeniu „Metalplast” oraz wytwórnia „Społem” w Oświęcimiu, a także sprowadza się je z NRD.

Handel musi sam budować również i dlatego, że, jak oblicza się, prawie połowa sklepów mieści się w niewielkich lokalikach, w których klientowi obsługującemu jedną albo dwie osoby. Sklepy te nie mają właściwego zaplecza, nie mogą zgromadzić niezbędnych zapasów towarów. Takie sklepy spotyka się zarówno w miastach jak i na wsi. Najlepiej spełniają swoją rolę domy towarowe, gdzie można wyłożyć przed klientem pełny zestaw towarów, gdzie klient może samodzielnie szukać, przebierać, przynosić, gdzie może rozkoszować się kupowaniem.

Trzeba więc budować domy towarowe i buduje się je, również na wsi. Trzeba także stawiać wielkie hale targowe, które przez pewien czas były w pogardzie. A okazało się, że niestety. Dlatego w najbliższym czasie w Tarnobrzegu, Katowicach, Wrocławiu i Warszawie postawi się hale targowe typu węgierskiego o powierzchni wynoszącej około 10 tys. metrów kwadratowych.

Poprawa pracy handlu zależy jednakże nie tylko od budownictwa, a więc od tego, że handel będzie dysponował większą powierzchnią do handlowania, nie tylko od przemysłu, a więc od tego, że będzie dysponował większym wyborem towarów i towarami o wyższej jakości, bardziej nowoczesnymi, ale także zależy od lepszej wewnętrznej organizacji.

Na przykład samoobsługa.

Wszyscy zgodzą się, że stanowi ona wyższą formę organizacji pracy handlu, gdyż daje klientowi możliwość wejścia w to wszystko, czym sklep dysponuje, daje mu możliwość swobodnego wyboru. Ale dobrze pojęta samoobsługa wymaga inicjatywy personelu sklepu, a także wyższej i lepszej organizacji pracy. Nie wystarczy bowiem wyłożyć towary na półkach i postawić kilka ekspedientek, które zamiast informować i pomagać klientom w dokonywaniu wyboru towarów, pilnują go w sposób tak nachalny aż dla wielu klientów nieprzyjemny. Nie mam zamiaru twierdzić, że klient jest aniołem i nie sięgnie chętnie po społeczne dobro, gdy to samo leży mu w ręce. Są tacy klienci, ale też w wielu „sa-

mach” przesadza się ze sposobem pilnowania społecznego dobra.

Samoobsługa poza tym wymaga też odpowiedniej powierzchni. Samoobsługa w sklepach małych, gdzie klienci wzajemnie się potrącają koszykami, gdzie kolejka przed kasą uniemożliwia dotarcie do półki, gdzie człowiek kupuje byle szybko, aby znaleźć się na ulicy, samoobsługa w takich sklepach nie ma większego sensu. Pozwala jednakże klientowi obsłużyć się szybko, kiedy wpada do sklepu po jakiś drobiazg i to już jest bardzo dużo. Myślę tu o sklepach spożywczych, gdzie samoobsługa części jest stosowana często mimo braku niezbędnych ku temu warunków. Natomiast w sklepach z artykułami przemysłowymi, gdzie ruch jest znacznie mniejszy, gdzie klient miałby więcej czasu i możliwości na dokonywanie wyboru, nadal z uporem sprzedawca tkwi za ladą. Być może towar jest tu droższy — na przykład sprzęt elektrotechniczny, mechaniczny sprzęt gospodarstwa domowego — i pokusa dla nieuczciwego klienta większa, a zatem i straty większe i dlatego handel jest tu ostrożniejszy. Nie zawsze jednak ma rację, gdyż samoobsługa w tego typu sklepach — jak wskazują doświadczenia — sprzyja wzrostowi obrotów. Dotyczy to również sklepów z wyrobami przemysłu lekkiego.

Dla Łodzi problem właściwego zaopatrzenia sklepów tego typu i właściwa organizacja w nich sprzedaży powinna mieć bardzo ważne znaczenie. Łódź powinna bowiem stać się

centrum handlowym przemysłu lekkiego.

Posiada ku temu wszelkie warunki. Przede wszystkim są tu zakłady produkcyjne, są tu centrale dyspozycyjne poszczególnych gałęzi wytwarzania przemysłu odzieżowego, przemysłu włókienniczego, dekoracyjnego, linianego, dziewiarskiego, pończoszniczego i skórzanego. W Łodzi są centrale handlu zagranicznego przemysłu lekkiego, zjeżdżają się tutaj nie tylko kupcy zagraniczni, ale i handlowcy z całego kraju. Tutaj więc ten przemysł powinien mieć swoje okno wystawowe, pokazujące wszystkim, którzy tego chcą czy nie, jakimi to on wyrobami dysponuje. A Łódź pod tym względem wcale się nie wyróżnia i ludzie zamiast przyjeżdżać do Łodzi, aby tu się ubrać i obkupić w wyroby przemysłu lekkiego, jeżdżą w tym celu do Warszawy, na Wybrzeże czy na Śląsk.

Realizacja „klimatów handlowych” na ulicy Piotrkowskiej, która to ulica jest i długo jeszcze pozostanie centrum handlowym miasta, może w konsekwencji przyczynić się do tego, że Łódź istotnie stanie się centrum handlowym przemysłu lekkiego. Pod warunkiem wszakże, że poszczególne fabryki czy zjednoczenia, mające patronat nad sklepami, zainteresują się o to aby w każdym sklepie było coś innego, a nie we wszystkich to samo, jak to się obecnie zdarza.

Praktyka naszego przemysłu i handlu jest niestety jeszcze taka, że jak się jakiś towar pokaże na rynku, to jest go aż do znużenia, a później — jak klient się przyzwyczaił — nagle znika i nie można go znaleźć ze świecą. Tak może działać wyłącznie z krótkimi seriami, przyznaczonymi tylko dla pewnej grupy klientów, a tak dzieje się niestety z podstawowymi wyrobami powszechnego użycia, stale potrzebnymi i trudno zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

DZIEJE NIEMIEC

Czytam książkę Marii Wawrykowej i zadaje sobie pytanie: kto i kiedy w naszej nowoczesnej historiografii pokusił się o napisanie syntetycznego dzieła o historii Niemiec? Slegam do niezastąpionego źródła informacji, jakim jest „Bibliografia historii polskiej” Ludwika Finkla (1891), podsumowująca całokształt dorobku naszej nauki historycznej po koniec minionego stulecia. I co się okazuje? Mianowicie, że w dziele historii powszechnej, tam gdzie odnotowane zostały wcale liczne syntetyz dzieł Niemiec, nie ma ani jednej pracy autora polskiego. Nie ma też wzmianki o jakimkolwiek tłumaczeniu na polski obcego dzieła historycznego z tego zakresu. A przecież druga połowa XIX w. to okres, kiedy wielu naszych historyków kształciło się na uniwersytetach niemieckich, odbywało tam studia uzupełniające, przygotowywało rozprawy doktorskie w sławnych seminariach historycznych. Jednakże

nikt się wówczas nie zdobył ani na napisanie, ani na przyswojenie polskiemu piśmiennictwu jakiegokolwiek syntetycznego dzieła historycznego, poświęconego dziejom naszego zachodniego sąsiada. O historii innych krajów prac oryginalnych, bądź tłumaczonych było w tym czasie wcale sporo.

Kiedy stan ten począł ulegać zmianie? Żadne z opracowań historii historiografii polskiej, żadna z bibliografii nie odnotowuje pojawienia się po polsku syntetyz dzieł Niemiec własnej lub tłumaczonej ani w początku naszego stulecia, ani w okresie międzywojennym. Jest paradoksem, że pierwsze polskie dzieła tego rodzaju pojawiły się dopiero... po zakończeniu II Wojny Światowej. Zrodziły się z doświadczeń wojny i okupacji, z przemyśleń nad genealogią rzeczywistości, jako próba wyjaśnienia, jak mogło dość do katastrofy, która pochłonięła tyle milionów istnień ludzkich.

Tak więc: pierwszym w całej naszej nowożytnej historiografii polskim dziełem, będącym — cząstkową wprawdzie — syntezą historii niemieckiej były „Niemcy w czasach nowożytnych (1517—1938)” pióra poznańskiego historyka Janusza Pajewskiego, opublikowane przez Instytut Zachodni zaraz po II Wojnie Światowej w 1947 r. Drugim były „Dzieje Niemiec do początku ery nowożytnej”, opracowane przez jednego z najwybitniejszych polskich mediewistów Kazimierza Tymienieckiego i opublikowane przez ten sam Instytut w następnym, 1948 roku. Pierwszym zaś tłumaczeniem syntetyz historycznej, poświęconej historii Niemiec, było dopiero opublikowanie w 1951 roku klasycznego dzieła historiografii marksistowskiej — Franca Mehringa „Dzieje Niemiec od schyłku wieków średnich”.

Zestawienie to krótkie, ale znamienne. Polemika z poglądami historiografii niemieckiej — a temu polska nauka historyczna poświęcała od dawna szczególnie wiele uwagi — przez długi czas zdawała się nam przesłaniać wszystko inne. Mieliśmy własne lub tłumaczone syntetyz dzie-

łów francuskich, angielskich, rosyjskich, portugalskich czy północno-amerykańskich, jeszcze w końcu XVIII wieku posiadaliśmy własne opracowanie historii krajów skandynawskich. Ale o Niemcach — nie mieliśmy właściwie nic. I nie jest wy tłumaczeniem, że ówczesna czytająca publiczność dobrze na ogół znała język niemiecki, a więc nie trzeba jej było tłumaczyć, ani dzieł własnych. Znała jeszcze lepiej francuski, a przez długie dziesiątki lat i rosyjski, a tłumaczenia z tych języków były, podobnie jak próby polskich opracowań dzieł Francji czy Rosji. Tłumaczyliśmy zresztą w XIX stuleciu wcale sporo niemieckich opracowań historii powszechnej. Tyle, że nie niemieckiej...

Dopiero w tym kontekście rozumiemy znaczenie dorobku, jaki w dziedzinie historii Niemiec polska nauka historyczna wypracowała w czasach Polski Ludowej. Nie chodzi mi tylko o prace monograficzne z niemieckiej historii, których jest dziś wielekroć więcej, aniżeli dawniej. Dla szerokiego czytelnika, nie będącego zawodowym historykiem, liczą się przede wszystkim dzieła o charakterze syntetycznym, na-

wet jeżeli w jednym tomie nie obejmują całości dzieł Niemiec. Poszukuje on takich dzieł, jak Jerzego Krasuskiego „Historii Rzeszy Niemieckiej (1871—1945)”, wydanej po raz pierwszy w 1971 r., takich, jak książka Marii Wawrykowej.

Pisałem niedługo na tym miejscu o pięknej pracy tej autorki, pt.: „Między pierwszą a drugą Rzeszą”, opublikowanej w 1972 r., a przynależącej zarys historii Niemiec od końca XVIII w. do wojny francusko-pruskiej i proklamowania Rzeszy Niemieckiej. Pisałem o tej książce w zycielowym tonie. Tak samo należałoby uczynić w odniesieniu do najnowszej pozycji tej samej autorki, mianowicie dzieła „Dzieje Niemiec 1648—1789”, wydanej w 1976 r. przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1976), a stanowiącej pierwszą część szeroko zamierzonej syntetyz dzieł Niemiec od czasu pokoju westfalskiego do wojny francusko-pruskiej 1871 r. Jest to z całą pewnością pozycja znacząca w naszej literaturze historycznej, tym ważniejsza, że poświęcona wciąż rzadko uprawianej u nas problematyce.

ANDRZEJ F. GRABSKI



ANATOLIJ
CZEPUROW

MOJE STROFY

Na nieostyglých zgłiszczach wieku
moja strofa surowa
o pięknie, ziemi i człowieku
moje proste słowa

Oddałem Rosji serca drzenie
Mą czułość, smutek i serdeczność
Oddałem myśli i spojrzenia
w przyszłość słoneczną.

ŚWIATŁO

Wybuchy bomb. Wskroś dymy czarne
i słupy ognia jak latarnie.

Lecz wiecznie żywe światło świata
Ojczysta planeta zielona
Wiruje w krąg, błękitem błyska
Wiecznym płomieniem rozświetlona.
Świetlisty krąg co nie zna kresu
Światło w najmniejszej trwa drobinie.

Wybuchy bomb...
A więc to ludzie!
Nie zabijajcie światła świata



Czterdziesty pierwszy — wojny znamie
Lato zakwitło wybuchami.
Wojna nas wzięła we władanie
I zostaliśmy żołnierzami.

Teraz po latach obudź pamięć
Znów widzisz frontu błyski jasne
a w sercu tli się bezustannie
płomień co nigdy nie zagaśnie

W radosnym trudzie i w pokoju
Wiosna się kłania przyszłym latom.
Ja jeszcze nie wróciłem z boju.
Z wojny nie wraca się tak łatwo.

Przełożył:
JERZY WILMAŃSKI



Starzec mówił bez pośpiechu i śpiewnie, każde słowo wypowiadał z powagą i przekonaniem.

— Zbyt wczesnie rozpaczasz, Praskowio. Przed czasem. Mało to bzdur wypisują w zawiadomieniach o śmierci! Napisali — zabity, a on może właśnie żywy — komuż to wiedzieć!

Praskowia leżąca płaciek na pościeli uniosła głowę. Otarła oczy końcem sięgającej ramion chusty:

— Jaki on tam żywy, skoro napisali — zabity? Nazwisko się zgadza, imię jego, i po ojczulku — tak samo: on. Zabity...

Znowu ukryła twarz w poduszce i zatrzęsła się od płaczu przypominającego kaszel.

dział, co? Przecież powiedział, że to nie o tatce zawiadomienie, wiece?

I matka uspokajała się trochę wycierając podpuchnięte oczy, wargi i poczerwieniałe nozdrza.

Sańka zasnął od razu i nic mu się nie śniło. W środku nocy obudził się i dostrzegł na ścianie załamana smutne światła dochodzącego z kuchni, a jeszcze wcześniej usłyszał cichy jęk matki. Argumentów dziada Arsenija nie wystarczyło jej na długo: znowu szlochala nad zawiadomieniem wychodząc do kuchni, żeby nie zbudzić syna.

— Ma-ma! I dlaczego ty znowu?... Przecież dziad Arsenij powiedział, wiece?

Płacz ucichł. Płomyk kaganek roz-

Ciemna siność w okienkach pojaśniała. Na końcu ulicy zamigotał płomyk. Sańka śpieszył się zakładając palto. Odcignął haczyk, bezszelstnie otworzył drzwi i wyszedł szelstnie przysmykając je z zewnątrz.

Przez noc przed gankiem utworzyła się wysoka, spieczasta zaspą. Sańka machinalnie odrzucił jej szczyt walonkami i poszedł w dół ulicy, w stronę mostu, ścisnąc w gołej ręce papierek.

Na podwórku Żurawłowów, za wpół rozebrany na opał parkanem, czerniała się pusta psia buda. „Zabili psa; nie ma czym karmić” — pomyślał Sańka i zbliżył się do domu. Głęboko wciągnął powietrze i zastukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Za-

WASYLIJ LEBIEDIEW

Gorzka prawda

Jej młodszy syn, Sańka, siedział na ławce, dziobał paznokciem przegniły parapet i także płakał. Co jakiś czas głośno pociągał rozmiękłym nosem, zwracał go to w jedną, to w drugą stronę i z nadzieją patrzył na dobrego sąsiada — dziada Arsenija, jakby to on mógł mu przywrócić zabitego ojca.

— Nie zadreczaj się, powiadam ci, Praskowia. Nie mecz się. Nie ufaj papierkowi: on ci żyć nie pomoże. Ja takim papierem ani krztyny nie wierzę — pokazał ciemny, krzywy paznokieć. — A ty jego, męża swojego, oplakujesz i może jeszcze nawet szykujesz się odprawić nabożeństwo. A będziesz płakać i odprawiać modły — zawsześ to jemu, żywemu, ciężko będzie, to dopiero zakosztuje chłop na tym świecie. Radzę ci: weź się w garść i żyj, jak do tej pory. Tak sobie myślę: nie mogła kula osiągnąć Mitryja — zwinny jest.

— Ze zwinny jest to prawda, oj zwinny — zajęczała Praskowia.

— No właśnie, widzisz sama! Trzeba teraz o sobie i Sańce pomyśleć. Kto się o niego zatroszczy prócz ciebie? A ty od rana rozwalasz się jak podcieta.

— Ale przecież, dziadku Arseniju — przemówiła żalostnie przecięź i nazwisko jego, l..

— Znowu swoje! Albo to mało takich nazwisk, jak wasze? Wielka rzecz — Żurawłowowie! Też mi osobliwość! Jakbyście tylko wy żyli na ziemi. Toć u nas, przypominam sobie, w pułku, w pierwszej wojnie z Niemcem, było osiemnastu chłopów samych tylko Iwanowów, a wszyscy Iwany. W Rosji Iwanów jak psich grzybów, a Mitrejów tak samo kobiałka z czubem. Widocznie u twojego w pułku Żurawłowów jest nie mniej, wiece w pośpiechu zorientuj się, kogo zabito. Omyłkowo napisane, jasna sprawa.

Starzec umilkł, przesunął dłoń po gładkim kosturze, popatrzył na ucichę Praskowię, na rozjaśnioną twarz Sańki i cignął:

— Po cóż zresztą daleko szukać. Choćby na naszej ulicy są przecięź Żurawłowowie. Przy moście mieszkają, wiesz? Nawet ich chłopca także nazywają czymś w rodzaju Mitki. Też poszedł na wojnę. Właśnie tak... A ty już chcesz modły odprawiać. Czy też wypada tak od razu? Nie wolno, Praskowia. Nie wolno. Twój Mitrija urodził się bez pośpiechu i nie potraza śpieszyć się z jego pogrzebem.

Dziad Arsenij wyszedł późno, już po tym, jak Praskowia podniosła się i zaczęła cicho, jakby w cudzym domu, chodzić po kuchni.

Sańka słyszał, jak skrobała nożem kartofle i bezgłośnie płakała smarząc w fartuch. Parokrotnie przechodziła obok Sańki, gładziła go po głowie wciąż starając się nie patrzeć na zawiadomienie o śmierci, które leżało na skraju stołu. Czuł głód i zmęczenie, chociaż cały dzień spędził w domu i nawet nie poszedł do szkoły.

— Sanuszką, przyjdź, miłutki, zjesz — zawołała matka.

Sańka jadł, a matka siedziała obok. Podparłszy głowę dłońmi: płakała.

— Zupelny tatuś, wykapany Mitia, całkiem wdał się w niego — kiwała głową.

— Mamo, nie trzeba... No nie trzeba — pomrukiwał i z ożywieniem mówił: — Czy ci dziad nie powie-

chwiął na ścianie smutne światła i do pokoju weszła matka w palcie narzuconym na koszulę. W milczeniu zgasiła kaganek, namacała w ciemności głowę Sańki i całując go, całą twarz zakapala mu łzami.

— Ma-ama, zimno.

Narzuciła coś ciężkiego na wierzch koldry a wreszcie sama legła w swojej rozłożonej pościeli i ucichła.

Sańka nie spał. Pociągnął nosem i poznał po zapachu, że nakryty jest ojcowskim paltem: z kieszeni zapachniało tytoniem. Także trochę popłakał, ugryzał się, ale nie usnął. Myślał o ojcu, nie tyle nawet myślał, ile patrzył na ojca, ponieważ stanął przed nim jak na jawie, poruszał się, mówił, chmurzył się, uśmiechał... Sańka widział jego ręce, oczy, nie ogolony podbródek i szyję. Szyja z tyłu zapłonęła i na skórze, nad kołnierzem, pojawiły się zmarszczki.

Matka ciężko westchnęła przez sen.

W ciszy dał się słyszeć, jakby się dopiero teraz pojawił, stukot ściennego zegara i znowu się gdzieś rozplynął jakby zegar zatonał w wodzie.

Sańka nasłuchiwał nowych dźwięków. Na ulicy szalała zamieć. Komin poświsływał sepieniąc, jakby w nim siedział Kolka, sąsiad z ławki i uczył się gwizdać swymi bezzębnymi ustami. Na ścianach też coś szeleściło, jakby na zewnątrz ktoś przenosił rogoże. Trwało to długo i za każdym razem, kiedy wiatr uderzał w okno najbliższej Sańki, zaklejąc je niewidocznym w ciemności śniegiem, chłopcu zdawało się, że to szoruje skrzydłem po szkło zabłakany ptak.

Stukot wahał się nasłuchiwał się, zbliżył się do samej twarzy i znowu gdzieś się oddalił, znikł.

Sańce zrobiło się ogromnie żal siebie i matki. Wiedział, że teraz na ulicy beda się za nim oglądać ciotki, kiwać głowami i mówić jak o Kolce: „Sierotka...” Przypominał sobie miniony dzień. Ranek. Skruszona twarz listonosza, ciocia Szury, która przyniosła papierek. Krzyk i jęk matki... I nagle jakby Sańce oślepił potok światła: przed nim stanął dziad Arsenij. „Choćby na naszej ulicy są przecięź Żurawłowowie... Przy moście mieszkają... Nawet ich chłopca także nazywają czymś w rodzaju Mitki!” — przypomniał sobie Sańka i jego serce zakotłowało tak silnie, że nie mógł spokojnie uleżeć. Siadł, odwrócił poduszkę mokra strona do dołu, wetknął w jej chłodek rozgorączkowaną głowę i leżał odetwierały z szeroko otwartymi oczami.

Ranek jeszcze nie wstał, kiedy Sańka podniósł się ostrożnie, żeby nie obudzić matki. Z trudem odróżniając ciemnoniebieskie plamy okien, po omacku przedostał się do kuchni, obszukał stół i znalazł na nim nienawistny papierek, nad którym nawet w nocy płakała jego matka. Później, wciąż tak samo po omacku, złożył spodnie, koszulę, kurtkę. Siegnął z pieca walonki, wsunął w nie nogi bez onucy, naciągnął czapkę, ale, jeszcze zanim wziął palto, zbliżył twarz do szyby i popatrzył na ulicę. Było na niej ciemno i straszno. Ślad na ławce i zaczął oczekiwać ranka.

Sańka długo siedział ścisnąc w dłoń zawiadomienie o śmierci. Ostatecznie przekonał sam siebie, że to pomyłka i że nikt w tym śpiącym mieście nie zna jeszcze prawdy, a on, Sańka Żurawłow, poznał ja...

stukał drugi i trzeci raz — jak poprzednio nikt się nie zjawiał. Sańka pukał bardzo cicho, ale silniej nie mógł: brakowało mu śmiałości. Wówczas wspiął się na przyzbie i przytrzymując się reka metalowego występu kilkakrotnie zapukał kostkami palców w szkło.

W oknie, jakby w odmele, mignął jakiś cień, potem gdzieś we wnętrzu domu zaśpiewały i głucho trzasnęły drzwi. Przez skurcze serca usłyszał króki.

— Kto? — zapytał kobiecy głos.

— Ja-a...

— Ktoś ty?

— Ja-a, ciociu...

— Nie ma chleba!

— Ja nie po chleb, ciociu...

— A czego chcesz? — wypytywała

kobieta nie otwierając drzwi.

— Co innego... Papierek dla was...

Za drzwiami zrobiło się cicho. Sańka wiatr szarpnąć nagim krzakiem w pobliżu ganku.

Sańka nie słyszał ani nie widział, odwracając się od wiatru, jak uchylily się drzwi i tylko nieoczekiwanie zauważył, że na niego patrzy ciemne, duże oczy. Zadrżał.

— Jaki papierek? — wyszeptala

kobieta.

— Ten — Sańka podał zawiadomie-

nie. Sucha, biała jak kość reka, wysunęła się ze szpary. Potem drzwi odchylił wiatr i kobieta sama wyszła na dzienne światło, na stopnie, drząc na całym ciecie. Zaczęła czytać i Sańka zauważył, że twarz jej smagnął jakby skurcze bólu, brwi zadręgały i uniosły się ku zmarszczonego czolu. Ale wtedy drgnęły jej wargi i w rannej ciszy rozległ się krzyk, który o mało nie zwałił Sańki z nóg:

— Nie mój! Nie mój!

Dotknęła zawiadomieniem piersi Sańki i drząc pośpieszenie mówiła wprost w jego twarz:

— To nie do mnie. Nie do mnie. Mój się nazywa Stepan, Stepan, a tu jest Dymitr. Widzisz, jakiś ty!

Zepchnęła go z ganku i zatrzaskała

drzwi. Gdzieś za rzeką skomlił pies — ostro i przeciągle, a nagi krzak obok ganku trząsł się na wietrze tak swobodnie jakby zdjął go bezgłośnie śmiech.

Sańka nastroszył się i zaplakał wsuwając rekaw w rekaw. Nawet zapomniał, że trzeba iść do domu; stał przed gankiem i chciał tylko jednego: aby ktoś przyznał się do tego papierka.

Na ganek ponownie wyszła bezgłośnie kobieta.

Sańka popatrzył na nią z nadzieją. Kobieta zbliżyła się, wsunęła mu do kieszeni półtora kostki cukru, poprawiła Sańce zsunięta na bok czapkę i cicho spytała:

— Tyś jest, chłopczyko, Żurawłow?

Praskowii?

— Aha, jej.

— A rekawie to nie masz?

— W domu — przemówił przez łyż Sańka.

— No wracaj, ojczulku, do domu. — Kobieta westchnęła i powtórzyła: — Zamarzniesz.

I Sańka poszedł po zaśnieszoną ulicę z powrotem, do swego domu. Gdzieś z daleko slychać było artyleryjska kanonada, jakby ktoś na głównej ulicy biegł po żelaznym dachu.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH



Foto: Archiwum

DYNASTIA ZNAJ JASIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

ny zarobek. Złapał go kiedyś Neumann w kącie i rzekł: „Du, verfluchter Pole! Meine Rat... raus... wynos się z fabryki...”

Józef czuł, że Neumann mówi prawdę. Musi się wynosić z fabryki.

Franciszek... Krecijasz bodaj jeszcze w maju przyszedł z wiadomością, że Abram Ingel chce sprzedać za trzy ruble Schieffkarte do Brazylii. Wyśmiał go wtedy Józef, bo ani myślał o wyprawie do „Hameryki”. Wyśmiał, choć przecież od dawna z ciekawością wysłuchiwał Abramowych wieści o Brazylii, w której ziemię darmo dają, a przejazd fundują za nie. Jak tu zresztą nie słuchać, skoro ten i ów zawierzywszy Abramowi kłamał, pakował i wystraszony się o paszport, wyruszał w świat.

W 1892 roku gorączka emigracyjna, która ogarnęła wcześniej Pomorze, Śląsk i Kaszuby, dotarła do Łodzi. Po roku 1890 zaczęły nadchodzić pierwsze listy. Różne dziwne wypisywali owi emigranci. Jedni złe, inni dobre, na przykład o tym, że ziemię w Brazylii dostali, a nawet pieniądze na szczęśliwy początek. Ktoregós dnia wieczorem zaszedł Józef do Abrahama. Od słowa do słowa zszedł na „Hamerykę”. Abram jął ową Brazylię zachwalać, a zachwalał tym goręcej im bardziej Józef w zamyśleniu popadał. Na koniec, gdy mu Józef otworzył o swym zamiarze powieść, poradził mu Abram wystąpić do żandarmerii (referat V) o paszport. Miał się Józef o kartę okrętową nie martwić: Abram obiecywał dostarczyć za trzy ruble od sztuki.

Już w 1890 roku władze petersburskie zwolniły ubiegających się o paszporty emigracyjne od opłaty 100 złotych, zalecając wydanie im w dziesięć dni świadectwa kwalifikacyjnego pod warunkiem uprzedniej sprzedaży nieruchomości. Żądano jednak 75 rubli od dorosłego i 50 rubli od dziecka do depozytu, do czasu wydania paszportów. Józef Krakowski nieruchomości nie posiadał, zaś 250 rubli — za siebie, Marcele, czteroletnią Stefanę i dwuletniego Józika — dostał po sprzedaniu 3 morgów w Chojnem, reszty z przypadającej na niego z ojcowiskowego wycygu.

W sierpniu 1892 rodzina Krakowskich znalazła się na drodze do Kalisza, który był pierwszym miastem łódzkich robotników w drodze do dalekiej Brazylii.

Walerii Czesnej nie było wtedy na świecie, ale z wyraźnym ożywieniem opowiadała mi ten fragment życia swoich rodziców.

— Niech pan się nie dziwi, ledwie trochę podrosła już matka opowiadała mi o tej brazylijskiej wyprawie. No, w każdym razie matka nauczyła mnie nawet kilku słów portugalskich. O, proszę, czy pan wie, co to jest Rio Grande de Sul? Nie wiedziałem.

— A było to tak — opowiadała dalej pani Waleria. — Z Kalisza poleciał rodzic do Hamburga; jak pan wie, to był i jest jeden z największych portów. W porcie dopadł ich, gdy blaski się razem z Dabielwiczami — to też scheiblerowska rodzina — ze Schieffkartami w garści, takis agent który statek im wskazał płynąć do Brazylii.

Nie owiem panu jak się ten statek zwał, bo matka nie pamiętała, jedno wiem, że był duży i nachato się do niego emigrantów bez liku. Koczowali na tym statku dwie doby nim wypłynął. Przez ten czas wchodzili na statek emigranci. Z tobołkami, skrzynkami, całym

dobytkiem, a powiem panu, że wielu brało ze sobą nawet ziarno na pierwszy siew na tej obiecanej brazylijskiej ziemi. Ojciec nie wziął, bo i skąd, on przecież, już fabryczny był duszą i ciałem. Przez dwa dni żył się tym co z sobą przywieźli. Dopiero gdy wypłyneli, dostali pożywienie od marynarzy. Opowiadała matka, że skapo tego pożywienia dawali; ledwie raz dziennie supka cienioka. Płyneli, proszę pana, siedem tygodni. Już pierwszego dnia zachorował Józik, potem matka. Straszna to była choroba, zwała ją morska.

Powiem panu, że do końca życia matka dziwiła się, jak oni to wszystko przetrwali. Nie wszyscy przetrwali. Pod koniec siódmego tygodnia, Józik, ten co miał ledwie dwa lata, wydal pod pokładem ostatnie tchnienie. Chciał go wtedy kapitan, Niemiec, do morza wrzucić. Ponoć taki marynarzki zwyczaj, ale matka nie pozwoliła. Na kolanach prosił, by Józika po chrześcijańsku w ziemi pochować. Musiał mieć kapitan miłe serce, bo uległ matce. Kazał zwiolki Józika przenieść na sam spód statku, gdzie najzimiej, do czasu gdy statek do portu przejdzie. A do owej Brazylii już nie było daleko, ledwie trzy dni. Ojciec tymczasem — jako, że cieśla był — pod pokładem trumne zaczął zbijać. Przynosił mu deski marynarze, co się nad jego niedola zlitowali. Gdy statek do portu przybił, trumna była gotowa. Pochowali go gdzieś tam, pod cementarym plotem, nie wiadomo gdzie, bo matka nie pamiętała.

A jeszcze panu powiem, że matka, kiedy umierała w 1924 roku, to nie miała ani jednego siwego włosa i wszystkie zęby, prócz jednego, tego, który jej doktor na statku ułamał, gdy usta lżyka chciał otworzyć, aby chorej lekarstwo wlać.

Oto krótka historia emigracyjnej podróży. W Rio de Janeiro, dokąd przybił statek, urząd imigracyjny zaproponował Krakowskim ziemię w stanie, o którym mówiła Czesna — Rio Grande de Sul. Ziemi było tam dużo. Józef dostał 50 hektarów puszczy, dziewięć brazylijskiej puszczy.

Pierwsza noc. Do Rio Grande de Sul wyruszył wczesnym świtem. Urzędnik, który ich eskortował, wysoki, barczysty, o ciemnej, gniewnej twarzy dołączył Krakowskich do licznej już gromady kolonistów. Wrzucili toboły do dwóch potężnych, zbitych z grubych desek wozów.

Szli, nie, najpierw prawie biegli, radośni, niecierpliwi, już gotowi obejmować tę swoją ziemię przyszaną, zatwierdzoną, poświadczoną na dokumentach obcymi, dziwnie brzmiącymi słowami. W urzędzie długo oglądali te małe skrawki papieru. Wychodzili bez pośpiechu, poganiani gniewnym krzykiem spoconego, zdenerwowanego urzędnika.

W Rio Grande de Sul kolumna zaczęła topnieć. Odłączyli się od niej poszczególne rodziny. W końcu przysła koleją na Krakowskich. Ta pierwsza noc na skraju polany, w głębi puszczy, która odtąd miała stać się ich domem, musiała być najstraszniejsza. Przesiedzieli ją przy dużym, stałym podsypanym ognisku.

— Moja siostra, Stefania — opowiada z ożywieniem Czesna — to od maleńkości się „stucercem” chodziła. Tyle tam było „dżiczyn”.

Po odrzuceniu tego, co w opowieści Czesnej — nieprawdopodobne, tego co zrodziło się później, gdy już powoli blakło bezpośrednie doznania, gdy pamięć obrastała nowymi szczegółami, wytłania się taki obraz brazylijskiej przygody łódzkiego robotnicza...

Najpierw wziął się Józef za budowanie chałupy. Jako, że był dobrym cieślą, postawił domek jak się patrzy: na palach, żeby „dżiczyna” nie wlażyła, z dwoma oknami, ale solidnymi „scheiblerówkami”. Potem zaczął karczować puszcze. Trzy lata karczował, a końca nie było widać.

W domu tylko gąb do jedzenia przybywało bo w rok po przyjeździe do Rio Grande de Sul, urodził się Ignac. Pod koniec piątego roku ich pobytu, kiedy Józef był na skraju rozpacz — puszcza się nie poddawała, choć w tym czasie w pobliżu osiedlili się nowi emigranci, też Polacy, i wspólnymi siłami próbowali wyrzeźić puszcę kęsy ziemi — zgłosili się do niego polscy kolonisci z Santa Esperita, którzy chcieli pobudować w swojej wsi kościół. Wiadomo, że przy budowie potrzebny jest cieśla. Zaproponował Józefowi pracę.

Po namyśle Józef rzucił w kącie piłę i siekierę, którymi karczował drzewa i pojechał do Santa Esperita. Zonie tylko przykazał domu pilnować, ogień w nocy podsycać, aby drapieżniki nie podchodziły pod chatę. Kościół budowano w pół roku. Niewielki, drewniany, tak — bardzo podobny do ich malutkiego, starego kościoła z Chojna. Gdy wrócili, na jego ziemi karczowanej przez pięć lat, rosły już nowe pędy drzew.

— Nigdy mi matka nie mówiła — opowiada Czesna — jak przekonywała ojca, aby wrócił do Polski. Zresztą wielu wtedy wracało. Za pieniądze zarobione przy budowie kościoła, po sześciu latach, wrócili. I powiem panu, że mieli trochę szczęścia, bo matkę i ojca z powrotem przyjął Scheibler do pracy, wtedy właśnie się rozbudowywał i potrzebował wykwalifikowanych robotników. Dostali także mieszkanie na Szlezyngu, nawet ładne, pokój miał 25 metrów. Co przywieźli z Brazylii? Ano trochę wspomnień, przywoływanych przy każdej okazji do końca życia, no i nowe, „brazylijskie” odciśki na rękach. Tylko tyle.

Częstochowska nr 4. Samo serce Szlezyngu. Jednopiętrowy, drewniany budynek. Właściciel nazywał się Miller. Był obermajstrem a Scheiblera. Już w 1960 roku specjalna komisja Wydziału Architektury Łódź-Widzew postanowiła, że budynek zostanie zburzony; zdaniem wysokiej komisji nie nadawał się do zamieszkania. Ale przetrwał. Stoł dtychczas. Orzeczenie komisji nie zwiódło jego starych mieszkańców. Pozostali.

Umówiliśmy się tu z Walerią Czesną i Franciszką Krawczykową, de domo Borowiakówna. Pani Krawczykowa skończyła już 81 lat. Na twarzy, na rękach, na całej przygarbionej postaci ma wypisaną 46 lat pracy w „scheiblerowskim kombinacie”. Tylko pamięć pozostała nietknięta.

Najpierw o Jasieni. Ładna była rzeczka, wypływała, ot — pani Franciszka wyciąga chudy palec — tam gdzie za folwarku Scheiblera, gdzie teraz wyrosły bloki, przecinała obecną ulicę Promińskiego — staw po niej pozostał, szkoda, że taki zapuszczony — wpływała za przedziałnie średnioprzedną, rów tam jest jeszcze i dalej, aż pod Piotrkowską, gdzie ginęła pod betonowymi pokrywami. Tak ją zapamiętała Franciszka Krawczykowa. Jasień przepolawiała posiadłość Scheiblera, ale nie dzieliła, nie była granicą. Na Szlezyngu mieszkali przede wszystkim scheiblerowscy robotnicy i majstrowie. Tu także był Scheibler władzą jedyną, najwyższą, on, który umiał nawet małą, biedną łódzką rzeczka, ba, każdą jej kroplę wykorzystać dla pomnażania swoich bogactw. Piękna była Jasień... — wdycha Franciszka Krawczykowa.

Waleria Czesna urodziła się na Częstochowskiej pod czwartym. Stąd bierze się znajomość obu kobiet. Najpierw muszę więc wysłuchać informacji o rodzinnych koligacjach.

Plącza się, mieszają, tak oczywiście dla moich rozmówczyń, związki rodzinne, zależności, pokrewieństwa.

— A pan nie słucha — stwierdza pani Franciszka — to przecież ważne. Andrzej Borowiak nie był moim rodzonym bratem tylko przyrodnim. Urodził się w 1887 roku. W 1907 miał 20 lat.

Ten dziwny kalendarz, który tworzą dzieje Krakowskich, składa się z luźnych kartek. A każda kartka, to nie miesiąc czy rok, lecz lata, czasem dziesięciolecia. Spada kartka: rok 1907.

Ignacy Krakowski — jeden z synów Józefa, urodzony w Brazylii — ma 14 lat. Waleria ledwie pięć. Na Częstochowskiej pod czwartym, obok rodziny Józefa mieszka inna, równie liczna, Borowiaków. Jeden z synów Borowiaka jest mężem Tekli. W kręgu oddziaływania Tekli znajduje się najmłodszy w rodzinie, Andrzej, bliiski przyjaciel Ignacego. Obaj pracują w przedalni Grohmanna, na salfaktorach. Obu los jeszcze raz połączy, po raz ostatni na wspólnej drodze na Sybir.

Trzeci rok walki łódzkich robotników. Trzy lata, które już zostały opisane przez historyków. W ich książkach długimi kolumnami ciągną się nazwiska poległych, aresztowanych, zesłanych. Nie ma tam nazwiska Andrzeja i Ignacego, nie znalazłem choćby wzmianki o tym drobnym epizodzie robotniczej walki.

W czerwcu 1907 roku postanowili powiesić na przedalni Grohmanna czerwony sztandar. Według Czesnej wybrali ciemną, pochmurną noc. Według Krawczykowej — jasną.

Jest to dzień pory na „wydziałe A” — widziałem go na własne oczy — wysoki szpic. Kawał rury. Sterczy ponad bramą, placem fabrycznym. Widać go. Zewsząd. Na nim, pewnej nocy, Andrzej Borowiak i Ignacy Krakowski powiesili czerwony sztandar. Wisiał do południa. Wysoko. Powiewał. Przychodzili robotnicy, spoglądali w górę. Jest. W południe zjechała carska żandarmeria.

Stanęli żandarmi przy drzwiach. Wychodzić z oddziału! Wyszli wszyscy. Robotnicy, majstrowie, kierownicy.

— Kto powiesił sztandar! — krzyknął oficer.

Milczenie. Po godzinie pod fabrykę zjechały wozy. Żandarmi załadowali na nie wszystkich obecnych i powieźli na Cegielińską, do baraków.

— Dowiedzieliśmy się o aresztowaniu całego oddziału przedalni — opowiada Franciszka Krawczykowa — dopiero po kilku godzinach. Zaraz pobiegliśmy z matką na Cegielińską. Miałam wtedy 13 lat. Pamiętam, że wokół baraków stała warta. Było już tam sporo kobiet. Chciałyśmy podać coś do jedzenia i ciepłejsze ubranie, ale nie pozwoliłi.

Co dwie godziny wyganiano zatrzymanych na plac przed barakami.

— Kto powiesił sztandar! — krzyczał oficer.

Milczenie. Z powrotem do baraków. A były wśród zatrzymanych kobiety i dzieci. Wszyscy razem, popołu. Cztery dni ich trzymali. Nie karmili, chcieli zniechęcić. Podobno działali się tam straszne rzeczy.

— Brat mówił mi później — włącza się Czesna — że czwartego dnia, kiedy znów stali na placu, przysunął się do niego Andrzej, „Przyznaj się — szepnął — jesteś młody, nie ci nie zrobią”. Ale brat się bał, że jak wystąpi, to go na miejscu nahajami zatłuką. Ale wystąpił. Wtedy kobiety w placu. — „Panie oficerze, on tego nie zrobił, chce się przyznać, żeby reszta nie cierpiała”. Wtedy wystąpił Andrzej. „Objał to zrobiliśmy”. Zbili ich wtedy strasznie, ręce skuli, a pozostali zwolnili do domów.

Na drugi dzień — mówi Czesna — pobiegliśmy tam z matką zanieść coś do jedzenia, ale powiedzieli nam przy bramie, że brata i Andrzeja już nie ma, wywiezieni zostali do Warszawy, do Cytadeli.

Kiedy wracałem z Walerią Czesną od pani Franciszki dowiedziałem się, że właśnie w roku 1907 ojciec — Józef — wyjechał po raz drugi, tym razem tylko z Wiktoorem, do Brazylii. Wrócili po trzech latach, tak jak poprzednio bez niczego.

— Dziwny był ten mój ojciec — mówi Czesna — ciągle niespokojny, wciąż próbował szukać szczęścia z dala od tej fabryki, nawet z dala od nas. Choć tyle lat przepracował, w Pfaffendorfie, nie chciał się z tym pogodzić. Dopiero w 1914 roku odszedł z Pfaffendorfu na zawsze. Kiedy stanęły fabryki — w czasie pierwszej wojny światowej — pojechaliśmy wszyscy do Chojna. Po wojnie w 1919 roku na stare śmiecie wróciliśmy bez niego. On pozostał już na wsi jako wiejski cieśla. Scheibler od razu przyjął matkę. Pracowała w Centrali na Wodnym Rynku. Później na przedalni średnioprzednej jako ciagarka. Na Wodnym Rynku w „oddziale A”, pracował także Wiktor.

MIROSLAW KUŹNIAK

Pałacyk przy ulicy Narutowicza

Do połowy lat pięćdziesiątych XIX wieku w Łodzi architektura imitowała jeszcze styl klasycystyczny. Biała Fabryka stanowiła wręcz kopię zamku o cechach renesansu, zaś domy tkaczy kopie dworców szlacheckich. Architekt, który formułował program Białej Fabryki działał już według nowej ideologii „maksimum nowości i minimum tradycji”. Otóż okazał ten gmach, pełniąc jednocześnie funkcję zakładu pracy i to na owe czasy bardzo nowoczesnego (nowością była maszyna parowa o mocy 60 KM (1838) otwierał wspaniałą kartę budownictwa przemysłowego w Łodzi.

Dawne fabryki łódzkie sprawiały wrażenie całkowitej otwartości, rezerwowane dla nich tereny zabudowywano obiektami przemysłowymi: kantory, wille, pałace, wozownie i ogrody. Projektanci stają niekiedy przed trudnym problemem rozwiązania budynków o zupełnie współczesnych funkcjach (fabryka) i użytkownikach, mieszkalnych (dom przemysłowca), poszukiwanie zgodności formy i funkcji cechowało zawsze twórczość architektoniczną Gustawa Laudau-Guentegera. Dokładnie dał się poznać jako wspaniały budowniczy Łodzi, dopiero po roku 1900 i to realizacjami w duchu „nowoczesnego” secesyjnego, dom bankowy „Wilhelma Laudau” (1902), kamienice przy ul. Piotrkowskiej nr 43 (1901) i nr 37 (1904); i najbardziej radykalną stylowo wille przy ulicy Wólczańskiej 31/33 (1902-1903); po pieczołowitej konserwacji przez Pracownię Konserwacji Zabytków w Łodzi, oddana w maju 1975 r. w służbę społeczeństwu jako galeria sztuki Biura Wystaw Artystycznych i Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Gustaw Laudau-Guenteger otrzymał staranne wykształcenie w Instytucie Inżynierów Cywilnych w Petersburgu. Blask budującej się osady, miasta Łodzi oraz dyspozycje planistyczne, największego wówczas architekta miejskiego Hilarego Majewskiego ukierunkowały jego pierwsze zainteresowania, naruszyły i „rozsadziły” nieco jednorodne kwalifikacje akademickie. Jedno z pierwszych zleceń jakie otrzymał Laudau było od przemysłowca Gustawa Schreera w 1893 r. na rozbudowę fabryki budowę I-piętrowego domu mieszkalnego wraz z oficyną na działce przy dawnej ulicy Dzielnej 7 (dzisiaj Narutowicza 48). Wzięła fabryki i domu mieszkalnego różni się na tyle od późniejszych realizacji autorskich, przede wszystkim realizacją uformowaniem krajobrazu i potraktowaniem kompozycji elewacji frontowej i ogrodowej oraz regularnym rzutem planu prostokąta. Tutaj bardziej uchwytne stają się relacje pomiędzy tzw. formą a treścią. Postulat eksponowania frontu budynku „pałacowo” — formalnych podziałów płaszczyzny — fasada frontowa (południowa) pięciostopowa z ryzalitem występującą partią środkową i z balkonem na pierwszym kondygnacji; elewacja ogrodowa (zachodnia) z wejściem głównym na osi środkowego ryzalitu — zdają się potwierdzać zgodność formy z konstrukcją i funkcją renesansowego pałacyku zamownego właściciela. Podobną orientację prezentował, pryncypialny Wilary Majewski; z tego więc okresu prace wszystkie budowie przemysłowe i rezydencje znamiennie stosowały styl historyczny i bardzo umiarkowane wnętrza.

Charakterystycznym rysem talentu architekta Gustawa Laudau-Guentegera jest postępowanie w jego realizacjach uzależnienie zewnętrznej osłony elewacji od materialnej struktury i funkcjonalnych treści budynku — np. projektowane fabryki, jego kamienice i wille. Należy więc wykazać, że autor pałacyku przy ulicy Narutowicza 48 — tendencjom historycznym w sztuce łódzkiej (choć je akceptował) po 1900. roku — przeciwstawił zwoła odmienne secesyjne budowie i na trwałe zapisał się jako oryginalny twórca łódzkiej architektury około 1900 roku.

Pierwotnie pałacyk przy ulicy Narutowicza 48 był własnością prywatną rodziny przemysłowca; od 1945 roku, gospodarzyli tutaj Południowo-Włókiennicze Zakłady Remontów Maszyn Przemysłu Włókienniczego; w 1955 roku miał miejsce remont strychu i adaptacja (wtedy zmienila się nieco elewacja frontowa). W 1960 roku pałacyk przejął Skarb Państwa (zarządzał MZBM Łódź-Sródmieście). W wyniku wprowadzenia w życie programu konserwatorskiego ochrony dóbr kultury Łodzi, w latach siedemdziesiątych przystąpiono do kapitalnego remontu pałacyku, przeznaczonego zabytkowy na cele kulturalne, które dzisiaj dynamicznie realizuje nowy użytkownik Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckiej.

ANTONI SZRAM



Foto: A. Kurycki

GŁOS ROSIEGO

Francesco Rosi w wywiadzie dla włoskiego pisma „Repubblica” powiedział:

„Jest absurdem dyskutować o finale (filmu, przyp. EN) z reżyserem, który jeszcze nigdy nie postawił słowa „koniec” w żadnym ze swoich filmów. Nigdy nie piszę „koniec”, bo moje filmy rozwijają się w naturalnym nurcie życia, a ten nigdy nie ma końca. Mogą mnie oskarżać, że moje filmy są niejasne, proszę bardzo. Tak, jakby rzeczywistość była jasna”.

Ta wypowiedź jest związana bezpośrednio z ostatnim, pokazywanym już u nas w czasie Konfrontacji filmem Francesco Rosiego „Szacowni nieboszczyki”, lecz dotyczy całokształtu jego twórczości.

Autor takich, znanych i u nas, filmów jak „Wyzwanie” (1957), „Salvadore Giuliano” (1961), „Rece nad miastem” (1963), „Ludzie przeciwko sobie” (1970), „Sprawa Mattei” (1972) i właśnie „Szacowni nieboszczyki” (1976) jest artystą o lewicowych przekonaniach walczącym z siłami prawicy. Jego filmy są wyrazem politycznego sumienia włoskiej kinematografii i w większości przypadków służą demaskowaniu kulisy polityki w jego kraju prowadzonej, są przykładem sztuki walczącej, uczestniczącej w postępowych tendencjach przemian społecznych.

„Szacowni nieboszczyki” mają natomiast formę „political fiction”, ukazują wydarzenia, które nie miały jeszcze miejsca, lecz które, zważywszy polityczny klimat, w każdej chwili zdarzyć się mogą. Scenariusz filmu powstał w oparciu o powieść Leonarda Sciasci „Kontekst”, której akcja toczy się w miejscu i otoczeniu bliżej nie zlokalizowanym, w kraju wymyślanym. Za pełną zgodą pisarza Francesco Rosi przyjął mu realia współczesnych Włoch. Świadczy o tym wypowiedź Leonarda Sciasci:

„Napisałem książkę w 1971 roku. Od tego czasu Włochy stały się niezwykle podobne do owego wymyślanego kraju. To dość przerażające. Powieść ukazywała władzę, nie mającą podstaw ideowych, władzę brońniczą, usiłującą wchłonąć, upokorzyć i unicestwić na koniec siły, które się jej przeciwstawiają. Wydaje mi się, że Rosi zrozumiał do głębi ten sens i znalazł dla niego znakomite ekwiwalenty we włoskich realiach”.

„Szacownym nieboszczykiem” nadał Francesco Rosi formę intrygi kryminalnej. Gini, kolejno mordowani przedstawiciele prawa, a więc i władzy, owi „szacowni”, ofiary wymierzanej przez kogoś sprawiedliwości, morderca do końca pozostanie nie rozpoznany. Ofiarą tych zbrodni stanie się również inspektor policji idący tropem owej „sprawiedliwości”, ujawniający krok po kroku, że za działaniami nieznanego mordercy ukryci są inni przedstawiciele władzy.

Spośród wszystkich znanych nam filmów politycznych, których nurt właśnie we włoskiej kinematografii jest bardzo ciekawy, „Szacowni nieboszczyki” Francesco Rosiego są głosem szczególnie mocnym, między innymi właśnie dlatego, że intryga kryminalna nie znajduje swego rozwiązania. W innych, znanych nam filmach tego nurtu, najczęściej poznajemy winnych. Jeśli nawet nie zawsze ponoszą oni karę, sam fakt, że są rozpoznawalni, stwarza nadzieję, że sprawiedliwości stanie się kiedyś zadość.

Francesco Rosi postąpił inaczej, motyw tej decyzji najprecyzyjniej wyraża sam:

„Kiedy robiłem „Salvadore Giuliano” czy „Rece nad miastem”, sytuacja była jasna. Jaśniejsze były linie podziału, ujawnienie prawdy samo w sobie było czynem. Dziś sprawy tak bardzo się skomplikowały, że postanowiłem niejako zanurzyć widza w tym zamęciu, wyrażając w ten sposób cały mój niepokój, moje wątpliwości, ale też pokazać to, czego jestem pewny”.

Jego film, choć nie odnosi się bezpośrednio do żadnych konkretnych zdarzeń, ukazuje to, co jest polityczną rzeczywistością Włoch, kraju, w którym wraz z kryzysem gospodarczym nasiliła się gwałtowna i często krwawa walka polityczna. Morderstwa, zamachy bombowe, tajemnicze porwania, o których nie bardzo wiadomo czy są dziełem gangsterów czy częścią walki politycznej — to wiadomości, które nie schodzą z ławów prasy. Konstatacje i pytania zawieszono w filmie Francesco Rosiego, wyrażają ów niepokój, który jest udziałem postępowych sił tego kraju. Wyrażają go w sposób niezwykle sugestywny i dramatyczny, będący świadectwem nie tylko społecznej postawy Francesco Rosiego, ale także jego krystalicznie czystego warsztatu twórczego.

EWA NURCZYŃSKA

SPRAWY RZECZYWISTOŚCI



ANDRZEJ MAJER

Otwarta niedawno przez BWA w Łodzi indywidualna wystawa twórczości WIESŁAWA GARBOLIŃSKIEGO była kolejnym dowodem uznania, jakim cieszy się jego twórczość. Chyba nie tylko dlatego, że posługuje się wyłącznie realistycznym językiem wypowiedzi. Nawet gdy są to obrazy — metafory o osobistym podtekście, pełne odniesień czytelnych tylko dla erudytów — wydają się mimo to w pewien szczególny sposób zrozumiałe.

Najprostsza definicja metafory oznacza, że wszystkie wykorzystane dla kompozycji obrazu realne elementy, są podporządkowane literackiemu tematowi, użyte w przenośnym znaczeniu. Przedmioty — zamieniają się w uczestniczące biernie lub aktywnie rekwiwity nieokreślonego przedstawienia. Literacki kontekst sprawia, że każdy z nich wyraża określone stany lub dokumentuje pewne treści.

Tak swobodna interpretacja metaforycznego realizmu jest możliwa dopiero dziś, gdy stał się powszechnym środkiem wypowiedzi wielu artystów. Przed kilku jeszcze laty z tych samych powodów, jakie dziś krystalizują się w artystyczną doktrynę — stawiano Wiesławowi Garbolińskiemu zarzut „przegadania”, sprowadzania symbolicznej wymowy elementów rzeczywistości do roli testu bie-

głości warsztatowej. Zmieniły się kryteria i tylko niewielu artystów — a pośród nich z pewnością Wiesław Garboliński — nie musiało gwałtownie zmieniać skóry.

Jego płótna zapełniają dziś przedmioty, z których każdy może stanowić odrębny temat — zgodnie z renesansową regułą „wielości w jedności”. Równocześnie monumentalizm ich formy, użycie skrótów perspektywy, zestawianie poszczególnych motywów z pozorną rozrzuconością — przypominają o baroku. Niemal każdy obraz, jak sądzi, budowany jest w oparciu o podobnie przeciwstawne i zarazem uzupełniające się założenia.

Pewne przerysowania grubym konturem, rozjaśnianie niektórych partii światłem, skłonność do maniernej deformacji potęgująca eks-

presję — łagodzone są klasyczną równowagą kompozycji. Konwulsyjność (wtedy, gdy pojawiają się motywy antycznej Nike z Samotraki), miesza się ze spokojem holenderskiej martwej natury kontemplacyjnej. To niełatwe chyba budowanie poprzez opozycje, reprezentuje szczególny typ odniesienia rzeczywistości, istniejącej w przeszłości lub tradycji — do rzeczywistości, powstającej w akcie twórczym. Niemal zawsze udaje się Garbolińskiemu znaleźć w tej sytuacji „złoty środek”, dzięki któremu obraz, mimo harmonijnego spokoju, żyje ukrytym napięciem — nie od razu dostrzegalnym, ale przy bliższym kontakcie frapującym widza.

Wszystkie te elementy tworzą niepowtarzalną strukturę zewnętrznej, obrazowej warstwy jego malarstwa. Ale tajemnica prostego faktu, że pośród tych obrazów, żaden z odbiorców nie czuje się intruzem, ma bardziej złożone podstawy. Myślę, że lokowanie Wiesława Garbolińskiego pośród realistów — metaforyków, jest o tyle słuszne, o ile na początku już odrzucił się potężny nurt deformacyjnej, kontestującej wobec rzeczywistości postawy reprezentowanej np. przez Francisca Bacona (z całym jej konsekwencjami i naśladownictwem) — i poszukiwał genealogii tego rodzaju obrazowania, na przykład, w „malarstwie metafizycznym” Giorgio de Chirico, czy nawet w surrealizmie — jak u Rene Magritte. Nieustanna opozycja składników bud-



Foto: W. Paryś

jących obraz, w którym zakiera się przejście między przestrzenią rzeczywistości, a iluzoryczną, reminiscencją z przeszłości i teraźniejszością, niezwykłością i powszedniością, wreszcie barokowym „dużym gestem”, a renesansowym cyzelowaniem — ma źródło w malarstwie inspirowanym przez podświadomość. Jedynie ostateczne efekty świadczą o przemyślanej selekcji, albo też generowaniu pewnych sygnałów — zależnie od ich znaczeniowej wartości.

Klamrą spinającą obrazy Wiesława Garbolińskiego jest nie tylko styl (rozpoznawalny na pierwszy rzut oka), ale przede wszystkim nastrój i specyficzny klimat. Jedno z najlepszych płócien („Katastrofa”) przedstawia czoło pędzącej lokomotywy, wyrastającej tuż przed oczyma widza, jak w dynamicznym filmowym kadrze. Tuż przed kolumnami niszczycielskiej maszyny, druzgocącej i spychającej gdzieś na bok ulamki antycznych posągów, klęczy na torze naga dziewczyna, tuląca w obronnym gestie głowę w ramiona. Cały dramatyzm tej sceny został umyślnie stepiony łagodnym, pastelowym kolorem, napięcie złagodzone poprzez staranną kompozycję, a akcja — zatrzymana, jak w kadrze barwnej fotografii. W konsekwencji, emocja dwukrotnie przez fabułę — zamienia się w klimat melancholii, pozornego zaprzeczenia grozi. Mimo to odbiorca doskonale zdaje sobie sprawę z intencji artysty; potrafi zrozumieć, że nie ma tu miejsca na rzeczy nieprzemyślane lub niedokończone.

W bogatym dorobku Wiesława Garbolińskiego przewija się kilka głównych wątków tematycznych: pejzaże (które można umownie nazwać „miejskimi”), wnętrza z martwymi naturami, postaciami, wreszcie płótna o tematyce rewolucyjnej i batalistycznej. Za każdym razem stajemy wobec obrazu, adresowanego wprost do widza i jego wrażliwości, proponującego rozstrzygnięcie wspólnie z artystą nurtujących go problemów. Z całą pewnością nie jest to sztuka bierna, ezoteryczna — lecz w swoisty sposób usiłująca zdobyć widza, obliczona na konkretną, społeczną recepcję.

Arnold Hauser w „Filozofii historii sztuki” pisze:

„... sztuka może wyrażać cele społeczne w dwojaki sposób — treści mogą w niej przybrać formę jawną — wyznania wiary, wyrażonej doktryny, bezpośredniej propagandy — lub mogą przejawiać się jedynie w formie ukrytych założeń, to jest przez poglądy przyjęte w dziele. Dzieło sztuki staje się nosicielem utrwalonych przez siebie treści społecznych, które umożliwiają komunikację między twórcą, a różnymi typami odbiorców oraz między poszczególnymi odbiorcami”.

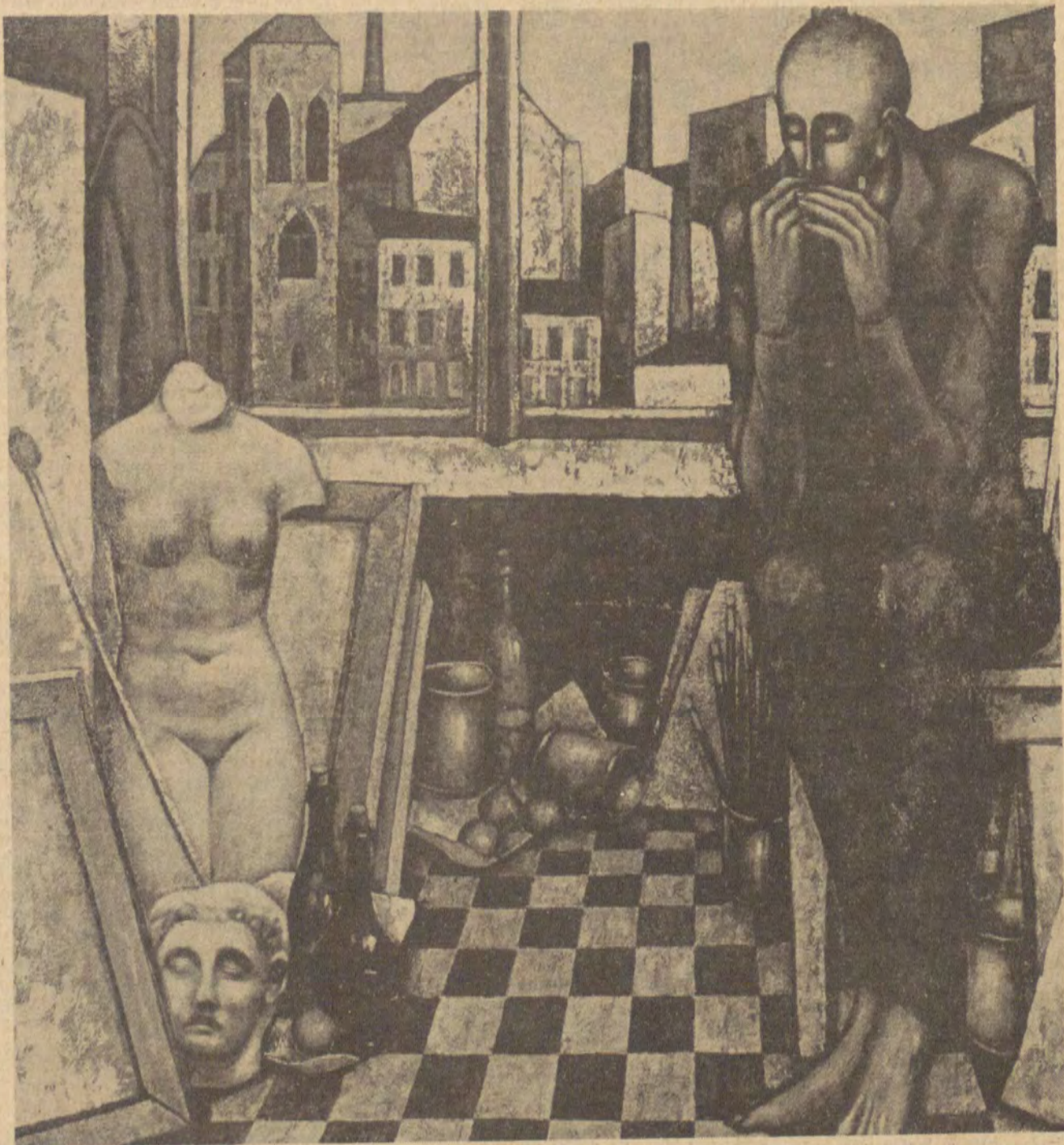
Sądzę, że komunikacja między ludźmi poprzez sztukę możliwa jest tylko wtedy, gdy obie strony przyjmą zasady partnerstwa i zaufania. Jeśli zatem Wiesławowi Garbolińskiemu w pełni udaje się realizować to najtrudniejsze chyba z zadań twórcy (o czym jednoznacznie świadczy zainteresowanie jego odbiorców) i przekazać choćby część wiedzy o rzeczywistości, wybrać z niej problemy wspólne wszystkim ludziom — jest to równocześnie dowód siły sztuki, która potrafi spełnić określone funkcje dydaktyki.

Nie chcę twierdzić, że jest to wyłączna zasługa realistycznej konwencji, której pozostał zawsze wierny. Chodził raczej o rzadką umiejętność zademonstrowania powagi, z jaką traktuje znajomość sugestywnej roli malarstwa, jako środka przekazu i narzędzia porozumienia.

Znakomity krytyk Krzysztof Kosterko na samym wstępie szkicu o malarstwie Wiesława Garbolińskiego twierdzi:

„... mamy do czynienia ze sztuką, wobec której jesteśmy dość bezradni, kiedy próbujemy opatrzyć ją komentarzem. To chyba znamienne dla stanu świadomości krytyki, towarzyszącej współczesnej sztuce”.

Szkoda.



CZEGO LUDZIE SZUKAJĄ W FEDERALNYM ARCHIWUM



Na łamach „INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE” ukazał się artykuł JANET CLAYTON omawiający poszukiwania i działalność amerykańskiego Archiwum Federalnego. Oto treść tego artykułu.

Dla zwykłego przechodnia jest to jeden z wielu olbrzymich gmachów, znajdujących się przy waszyngtońskiej Alei Pensylwania, jednak już od wielu lat przyciąga on uwagę ludzi, o których można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są jednostkami przeciętnymi. Gmach Archiwum Federalnego gościł już w swych murach takie osoby, jak np. pewną kobietę, uważającą siebie za „królową świata”, która chciała uzyskać potwierdzenie swych „praw do tronu”, mężczyznę, usiłującego wyśledzić swe drzewo genealogiczne, aż od czasów Adama i Ewy oraz innego dentemena, zdecydowanego udowodnić, iż jest potomkiem zarówno Dżyngis Chana, jak i Karola Wielkiego.

Biorąc jednak rzecz bardziej serio, liczący 42 lata budynek, jest również mekka dla takich bogaczy, jak pewien profesor z Teksasu, badający piśmiennictwo niemieckie z czasów II wojny światowej, w celu znalezienia dróg wyjścia z dzisiejszego kryzysu energetycznego oraz pewnego małżeństwa, badającego okoliczności zaginięcia odważnej kobiety — lotnika, Amelii Earhart w 1937 roku. To właśnie tutaj w Archiwum Federalnym, jak wyraził się jeden z urzędników, „kończą się mity, a legendy zostają potwierdzone”. Budynek Archiwum, zbudowany w 1935 roku za fenomenalną niską, jak na dzisiejsze warunki, cenę 8 milionów 567 tys. dolarów, mieści obecnie najbardziej obczerne w kraju zbiory różnych zapisów i dokumentów, dostępnych dla agencji rządowych, jak i prywatnych obywateli. Na widocznym miejscu umieszczone są tak bezcenne zabytki, jak Deklaracja Niepodległości i Konstytucja. Trudno się więc dziwić, że w przeciągu wielu lat liczne osoby doszły do wniosku, że w Archiwum można znaleźć odpowiedź na wszystkie problemy i pytania, zarówno rzeczywiste, jak i wymaginowane. Ostatnio obchody 200-lecia powstania USA i wyświetlany w telewizji popularny serial „Roots” skłonił niektórych do przypuszczeń, lub wzbudził w nich nadzieję, że Archiwum jest czymś w rodzaju ośrodka, zawierającego wszystkie informacje genealogiczne.

— Ktoś gdzieś wpadł na pomysł, że istnieje tutaj scentralizowany komputer, posiadający w swej pamięci genealogię wszystkich Amerykanów — powiedział James Walker, specjalista od spraw genealogii i historii. — Nie prowadzimy badań genealogicznych. Kierujemy tylko lu-

dzi do istniejących, dostępnych źródeł, pozostawiając im samodzielne udowodnienie swego pokrewieństwa z przodkami.

Archiwum Federalne, zajmujące powierzchnię około pół miliona stóp kwadratowych i zawierające m. in. dokumenty z okresów spisów ludności, poborów do wojska, osób emerytowanych oraz tytuły własności posiadłości ziemskich, może okazać się pomocne dla kogoś, usiłującego zrekonstruować drzewo genealogiczne swej rodziny. Jednakże jest również prawdą, że większość dokumentów takich, jak świadectwa urodzin, ślubu lub zgonu, może być uzyskana w sposób bardziej wygodny u władz miejscowych lub stanowych.

Nieporozumienie, iż w Archiwum można ustalić wszelkie sprawy, dotyczące genealogii, prowadzi do zgłaszania żądań, które, łagodnie mówiąc, są dość dziwne i niemożliwe do spełnienia. Pomijając przypadki „królowej świata”, Dżyngis Chana oraz Adama i Ewy, można wspomnieć o pewnym człowieku, który napisał ostatnio do Archiwum z prośbą o przesłanie mu wszystkich informacji na temat losów potomków Jezusa Chrystusa. Wszystkie tego typu prośby zaliczane są w podobny sposób.

— Osoby takie muszą być przekonane, że posiadamy dokumenty z całego świata — powiedział Walker. — Wszystko, co możemy zrobić, to przesłać mu informator, który wyjaśni, jakiego typu dokumenty posiadamy.

Jednakże życzenia, które na pierwszy rzut oka mogą wydawać się dziwaczne, czasami posiadają bardzo duże znaczenie. Tytułem przykładu można wymienić pomysł zbadania piśmiennictwa niemieckiego z okresu II wojny światowej, zdobytego przez aliantów. Piśmiennictwo to może być przydatne do znalezienia sposobu wyjścia z obecnego kryzysu energetycznego. Arnold Krammer, historyk, zatrudniony na jednym z uniwersytetów w Teksasie, bada obecnie te źródła, usiłując ustalić metody stosowane przez niemieckich naukowców, służące do uzyskiwania sztucznej benzyny z węgla. W czasie ostatniej wojny Niemcy hitlerowskie napędzali syntetyczną benzyną większość swoich pojazdów i samolotów wojskowych.

— Każdy inżynier może obecnie powiedzieć, że w celu przewyższenia kryzysu, trzeba przerabiać węgiel na sztuczne paliwa płynne, jednakże pozostaje otwarty problem, jak zrobić to w sposób efektywny i na wiel-

ką skalę — mówi Arnold Krammer. Odpowiedź może leżeć właśnie w Archiwum Federalnym. Jeżeli Arnold Krammer i jego współpracownicy odniosą sukces, to ich żmudne badania mogą doprowadzić do uzyskania nowego, poważnego źródła energii. Inne, niecodzienne prośby zgłaszają osoby, usiłujące ustalić nie wyjaśnione dotąd okoliczności różnych tajemniczych wydarzeń. I tak np. Frances Kothera sędzi, że gdzieś w czeluściach Archiwum leży rozwiązanie zagadki zniknięcia Amelii Earhart. W 1937 roku Amelia Earhart w towarzystwie pułkownika Freda Noonana wyruszyła w podróż dookoła świata na niewielkim, dwusilnikowym samolocie Lockheed. Po przebyciu 2/3 drogi, samolot zniknął w tajemniczych okolicznościach w okolicy wyspy Howland na południowym Pacyfiku, w lipcu 1937 roku. Niektórzy starzy mieszkańcy wysp Pacyfiku utrzymują, że Amelia Earhart oraz pułkownik Fred Noonan zostali schwytani przez żołnierzy japońskich i te właśnie twierdzenia skłoniły panią Kothera oraz jej męża Dona do przekopywania się przez archiwum przez 10 lat.

— Nigdy nie zamierzaliśmy zajmować się tą sprawą w sposób tak dogłębny — powiedziała ostatnio pani Kothera — ale nie mogliśmy po prostu zaakceptować wyjaśnień, oferowanych nam przez rząd.

Kapitan Pat Coulter z wydziału archiwów amerykańskiej piechoty morskiej oświadczył, że nie są mu znane jakiegokolwiek dokumenty, czy fotografie, które przemawiałyby za wersją schwytania podróżników przez żołnierzy japońskich. Pomimo tego, małżeństwo Kothera kontynuuje swe poszukiwania w Archiwum Federalnym.

Nieufność do oficjalnych wersji dawnych wydarzeń i opublikowanych wyników śledztwa, skłoniła również niejakiego RONALDA RIETVELDA do szukania pomocy w Archiwum. Utrzymuje on, że jest o krok od zidentyfikowania prawdziwych zabójców Abrahama LINCOLNA. R. Rietveld, który jest profesorem historii na uniwersytecie stanu Kalifornia, twierdzi, że Lincoln był kozłem ofiarnym i że w spisku, mającym na celu pozabawienie go życia uczestniczyło 35 wysokich funkcjonariuszy rządowych. Usiłuje on udowodnić swoją teorię, badając zapiski i korespondencje członków administracji Lincoln. Idea spisku, którego rezultatem jest, bądź zamordowanie Lincoln, Kennedy'ego lub nagła zmiana rządu, to nie nowego dla Williama CUNLIFFA, zastępcy dyrektora działu Archiwum Federalnego, przechowującego dokumenty z zakresu wojskowości.

— Nasłuchaliśmy się już mnóstwo opowieści o spisach. Myślę, że dzieje się tak wówczas, gdy strata jest bolesna i ludzie w naturalnym odruchu poszukują bardziej dogłębnych wyjaśnień — mówi W. Cunliffe. — Zdarzają się również sytuacje, w których ludzie sądzą, że w naszych dokumentach zawarta jest prawda, dotycząca ich jednostkowej sytuacji. Mielśmy nawet do czynienia z mężczyznami, którzy kontaktowali się z nami, aby uzyskać jakies dane, dotyczące ich żon. To było smutne.

Niektóre dochodzenia są specjalnie kłopotliwe i przykre dla pracowników Archiwum. Chodzi tu np. o studentów, których zdolność pobierania nauk zależy od tego, czy będą w stanie udowodnić odpowiednie pochodzenie etniczne, regionalne, czy przynależność do danej grupy religijnej.

— Na przykład student chce udowodnić, że jego przodkowie byli Murzynami, Meksykanami i Indianami

oraz, że jego dziadek był protestantem, który mieszkał w Nowym Meksyku — mówi jeden z pracowników — jest to również dla nas przykre, gdyż nie jesteśmy w stanie pomóc takim osobom.

Niekiedy jednostki wytrwale otrzymują odpowiedzi na swe niecodzienne żądania. Pewien człowiek z miejscowości Orange Courthouse w stanie Wirginia chciał dowiedzieć się, jak wyglądała historia domu, w którym mieszka. Normalnie dane dotyczące prywatnych domów nie są przechowywane w archiwach, jednak ponieważ ten właśnie dom służył za kwatery dla żołnierzy Konfederacji w czasie Wojny Domowej, informacje na temat jego stanu oraz zniszczeń, wywołanych przez działania wojenne były przechowywane w Archiwum Federalnym. Czasami ludzie nie otrzymują takich odpowiedzi, jakich by sobie życzyli. Nie zawsze np. sprawdzają się legendy rodzinne. Mary McBride, która pracuje w głównej sali studiów przypomina sobie historię pewnej kobiety, która regularnie odwiedzała Archiwum i była dumna, że jeden z jej przodków walczył po stronie Unii w Wojnie Domowej. Pewnego dnia, badając źródła z tego okresu, odkryła ku swojej rozpaczy, że w rzeczywistości jej przodek walczył po stronie Południowców.

— Usiłowała ona przekonać nas, że źródła historyczne się mylą. Była tak zrozpaczona, że chciała wynieść z Archiwum „kompromitujące” ją materiały — mówi Mary McBride.

MARIA GERBERÓWNA

TRZY MIŁOŚCI JEANA GABINA

Jean Gabin, jeden z najpopularniejszych aktorów francuskich, był synem śpiewaka operetkowego i kabaretowego Georgesa Monçorge, występującego pod pseudonimem Joseph Gabin. We wczesnej młodości nie czuł pociągu do profesji aktorskiej. Uciekł z liceum i próbował różnych zawodów. Po wielu burzliwych perypetiach udało się ojcu umieścić go w słynnym teatryku Folies-Bergères, gdzie rozpoczął karierę jako statysta.

Długa i mozolna była droga Jean Gabina do sławy, stworzył wiele niezapomnianych ról, wcielił się we wszystkie niemal postacie francuskiej „komedii ludzkiej”. Wiele kobiet przeszło przez jego życie, niejedną z nich nosiła głośnie w świecie artystycznym nazwisko. Trawiony był obsesją nędzy i zapomnienia, a tymczasem pozostawił żonie i dzieciom duży majątek, a Francuzom pamięć o najwybitniejszym aktorze francuskiego filmu.

W latach 1936—38 Gabin stworzył postać, która mu zapewniła sławę światową. Grał bohaterów z ludu, złoczyńców o szlachetnym sercu, odważnych dezertersów, romantycznych bandytów o wrażliwej duszy, nicponi, którzy zaplątani w jakieś straszliwe tarapaty w najtrudniejszych chwilach zdobywają się nieoczekiwanie na wielkość czynu. Kreowani przezeń bohaterowie ginęli zazwyczaj tragicznie, właśnie w chwili, gdy miał się do nich uśmiechnąć los. Specjalnością Gabina była też wielka, romantyczna, „niemożliwa” miłość. Grał w takich filmach, jak „Ludzie za mgłą”, „Bestia ludzka” i „Towarzysze broni” Renoira, „Ludzie za mgłą” i „Brzask” Carnégo, „Sztandar” i „Pépé le Moko” Duviviera i innych.

Wybuch wojny w 1939 roku przerywa karierę aktorską Gabina. 2 września 1939 roku zostaje zmobilizowany i wcielony do marynarki. Po zakończeniu kampanii francuskiej w 1941 udaje się przez Hiszpanię i Portugalię do Stanów Zjednoczonych. Do Francji wraca w 1944 roku i podejmuje ponownie pracę w filmie. Lecz lata zrobiły swoje. Dawny niepoń dojrzał i nawrócił się na drogę „porządnego” życia. Niedziwiedzi robotnik został przedsiębiorcą murarskim, a ex-dezerters — kombatantem. Dawny ulicznik paryski, apasz, bandyta przestał istnieć, a na ekranie spotykamy dobrze sytuowanego pana o ustalonej pozycji społecznej. Jest wielkim człowiekiem jako „Prezydent”. Film ten pokazała telewizja francuska w dniu śmierci Gabina dla uczczenia pamięci ulubionego artysty.

Michèle

Jedną z największych miłości w życiu Jeana Gabina narodziła się w trakcie realizacji słynnego filmu „Ludzie za mgłą”. Michèle Morgan miała wówczas lat 18, a Jean Gabin — 34. Gabin zobaczył Michèle po raz pierwszy w filmie „Zgrzeszyłem” i oświadczył Carné'emu, który właśnie czynił przygotowania do realizacji „Ludzi za mgłą”, iż „ta mała byłaby idealna!” W owym czasie (rok 1938) nazwisko Jeana Gabina było już głośnie w świecie filmu. W stosunku do „tej małej”, niemal debiutantki, Gabin był zawsze uprzedzającym miły i rycerski. Niedziwiedzi Michała miała straszliwą treść, tym bardziej że każdy dzień zdjęć zbliżał ją do chwili, pierwszego ekranowego pocałunku w jej życiu. Gabin zartował sobie z jej zdenerwowania i kpiako zapytywał, czy aby ona w ogóle potrafi się całować. Ale kiedy wreszcie doszło do tego momentu i Michèle złożyła pocałunek na ustach legendarnego Pépé le Moko, Gabin stracił głowę. Występowali potem wspólnie w słynnym filmie Gremilona „S.O.S.” Cała Francja wiedziała o ich romansie. Wojna rozdzieliła kochanków. Spotkali się dopiero w 1952 roku, przed kamerą, w trakcie realizacji „Minuty prawdy” Delannoya. Od tego czasu zostali przyjaciółmi.

Marlena

O ile miłość do Michèle była raczej liryczna, uczucie łączące Marlenę Dietrich i Jeana Gabina miało charakter gwałtowny i burzliwy. Poznali się w Hollywood, gdzie Gabin przebywał wraz z grupą francuskich aktorów, którzy opuścili okupowaną Francję. Jego nazwisko było już wówczas znane i popularne w Europie, Marlena była u szczytu sławy, stawała się powoli żywą legendą. Pod jej urokiem znajdowali się najświetniejsi i najbardziej renomowani urodzili Hollywood. A jednak wszyscy musieli ustąpić przed urokiem pozornie nieefektywnego Francuza o średnim wzroście. Romans Marleny i Jeana stał się wkrótce bardzo głośny i stanowił główny przedmiot rozmów i plotek w salonach i kłauarach Hollywood.

Wojna rzuciła ich w różne strony świata. Gabin znalazł się w okopach. Marlena w bluszczących, wspaniałych toaletach śpiewała dla żołnierzy alianckich w obozach i barakach położonych jak najbliżej frontu. Często huk armat zagłuszał jej głos. Pewnego dnia znaleźli się przypadkiem w odległości 80 kilometrów od siebie, w pobliżu granicy niemieckiej. Marlena, dowiedziawszy się o tym, wsiadła natychmiast do wojskowego jeepa i jak szalona, nie bacząc na niebezpieczeństwo, popędziła na spotkanie ukochanego. Zjawiła się właśnie w chwili, gdy jakiś generał urządził przegląd wojska. Gabin stał wyprostowany na baczność i nie zaszczylił swej wybranki nawet jednym spojrzeniem. Po zakończeniu wojny zagrali razem w filmie „Martin Roumagnac” i wkrótce potem zostali się na zawsze. Marlena nie spotkała się z Gabinem już nigdy więcej, ale nigdy o nim nie zapomniła. Na ścianach jej paryskiego mieszkania widnieją trzy cenne pamiątki: portret Ernesta Hemingwaya, którego nazywała „papa”, próbka pierwszej wyprodukowanej w świecie pelicyliny z osobistą dedykacją Aleksandra Fleminga i fotografia Jeana Gabina, jakby wyjęta z albumu rodzinnego.

Nikt nigdy nie zdołał przeniknąć tajemnicy nagłego i nieoczekiwanego zerwania obojga kochanków, tajemnicy dziwnego zakończenia wielkiej miłości, która trwała od 1941 do 1946 roku. Ale podczas, gdy Marlena często wspominała swego kochanka, i, jak mówiła, zachowała go w swym sercu, Gabin stanowczo i zdecydowanie wykreślił ją ze swego życia. Nie chciał się z nią spotkać, nie chciał o niej mówić, nawet zamykał telewizor, jeśli miała się tam pojawić. Nigdy też nie oglądał filmów, w których grała.

W kilka tygodni po zakończeniu zdjęć do „Martina Roumagnaca”, 29 stycznia 1949 roku, Gabin poznał Dominikę czyli Krystynę Fournier, modelkę do domu mody Lanvina. Zobaczył ją ponownie w lutym, na premierze sztuki, w której występował. Od tego wieczoru zaczęli spotykać się już codziennie. Po sześciu tygodniach ożenił się z nią, tym aktem jakby przekształcając jakąkolwiek możliwość powrotu do dawnego uczucia. To małżeństwo „na złość” przekształciło się z czasem w wielką miłość. Gabin stał się wzorowym mężem i ojcem rodziny. Mieli troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopca.

Normandia

Dzieci wychowywały się na wsi, gdzie Jean Gabin lokował wszystkie swoje dochody. Bardzo lubił pracować na wsi. Wydaje się, że jego ostatnią i największą miłością była ziemia normandzka, na której pragnął umrzeć i zostać pochowanym.

15 listopada 1976 roku radio paryskie oznajmiło Francji i światu smutną wiadomość: wielki aktor Jean Gabin opuścił scenę życia na zawsze.

DOMIAR ZŁEGO

Moda na dzieła literackie, których przedmiot stanowi życie samych literatów, nie jest wytworem naszych czasów. Jej początków należałoby chyba poszukiwać w romantycznych utworach o świecie sztuki i wyjątkowej roli jej „kapłanów” — romantycznych Konradów, Kordianów i hrabiów Henryków, wypartych następnie dość bezceremonialnie przez herosów kolejnej epoki: Kupców i przemysłowców. Artysta, pisarz powrócił jako temat triumfalnie w okresie Młodej Polski i pozostał prawie nie zmieniony za szybko wystawową lombardu tematów naszej literatury. W związku z tym uwaga pierwsza i zasadnicza: w powieściach ze świata sztuki wcześniej czy później pojawiać się musi fundamentalne pytanie o siłę motoryczną wszelkiej twórczości artystycznej.

„Czy ty odgadł tajemną wolę natury? Czy ty wiesz, jakie źródła trysnąć by ci mogły z duszy pod jej ręką? „Kto mnie, kto ciebie zapyta, skąd my swój ogień czerpiemy? I niech mnie nikt nie pyta, skąd ja mam tę moc, co światu wskreśla, za serce hółem łąga, upiory gumienia przed oczy ci stawia, Ani cnoty, ani winy waszej nie znam, ja dusz waszych władca, światła wskrzesiciel, namietności mag — ja, cudotwórca!”

W tej oto, kanonicznej powieści, postać zadał je Wacław Berent w słynnym „Próchnie”, gdy na progu naszego stulecia kreślił obraz artystycznej mierzwy, z której wyrosnąć miała dopiero prawdziwa literatura. I — rozpisane na głosy zależności od panującego stylu — pojawia się ono po dziś dzień. Dowodem książka Marka Sołtysika „Domiar złego” — trzecia nagroda w konkursie na debiut powieściowy, ogłoszony w roku 1979 przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”.

„Domiar złego” jest portretem artysty z czasów młodości, ściśle mówiąc portretem młodego prozaka (takie sformułowanie ma w kontekście książki swoją wymowę), który — odkrywając i ucząc się świata — ciągle dostrzega wokół coś nowego i nie zawsze wie, jak to coś nazwać, szuka się stosownych określeń, by w rezultacie powstał „jakis nowy wyraz”. Portret ten jest dosyć konsekwentnie wyobcowany z las, jakie stanowią mogłyby na przykład opis literackich obyczajów. Wprawdzie młody prozak styka się z koterią literacką, ale jest ona istotna o tyle tylko, że przyznaje Herbertowi trzymiesięczne stypendium w nadrealistycznie niesamowitym Nienależym. Groteskowa atmosfera grozy przenika owo dziwne miasto i jeszcze dziwniejszą willę doktora Niemczy, tymczasową siedzibę Herberta — pomieszczenie domu pracy twórczej ze „szpitalem wariatów” Juliana Słowackiego i siedziskiem Witolda Gombrowiczowskich Młodziaków. W takiej oto niesamowitej atmosferze kolejne przeżycia życia Herberta Wrowskiego odwołują się do pogłębia twórczości literackiej — w pierwszym rzędzie wysublimowany, choć drażniący erotyzm, dalej kategorię imperatyw nakazujący ustawiczne mieszanie rzeczywistości z fikcją literacką oraz — last not least — zamówienie społeczne.

Wśród tych, schematycznie tu zresztą nazwanych obszarów miota się młody prozak który musi pisać, choć czasem wydaje mu się, że literatura to „coś straszego” i prowadzi w gruncie rzeczy do „robienia”, jak to teraz mówią „wody z mózgu”. Chciałoby się w tym miejscu zapytać czyżby: autorskiego czy czytelniczego? Właśnie, jakże silnie przewija się przez całą powieść Marka Sołtysika element destrukcyjnej siły literatury wobec młodych adeptów pióra, korespondujący wyraźnie z unicestwieniem zanotowanym w niedokończonych powieści niewiele starszego przecież Rafała Wojaczka (i niestety zrealizowanym w jego samobójczej śmierci).

Książka Marka Sołtysika to jakby, wbrew przywołanej w powieści notatce z dziennika Immanuela Kanta, rejestracja nie najlepszego snu, ciężkiego, dusznego, przytłaczającego, jednakowoż inspirującego. Snu o pisaniu, Herberta bowiem oparła mania pisania — wszędzie dostrzega rekwizyty swych napisanych już i jeszcze nie stworzonych opowiadań. Cała jego życiowa aktywność jest nade wszystko twórczością literacką, wszystko jedno, czy realizowana z piórem w ręku, czy też bez. Tok narracji przerywany jest co pewien czas przez wprowadzanie utworu do utworu. Zabieg ten ma potwierdzić odwieczne trudności w wyznaczeniu płynnej, ale niezmiennie istniejącej, granicy między życiem i literaturą.

„Domiar złego” jest debiutem bez wątplenia udanym. Zwarto stylistycznie, nasycona znaczeniami proza, czyta się znakomicie. Tyle tylko, że przydałaby się jej większa zawartość myślowa. Bo przecież — bez żadnej niemal straty dla tekstu — można by ją skrócić. Iles tam stron wczesniej bądź też dopisać dalsze. Z tym wszystkim jest ta książka interesująca próba odpowiedzi przedstawiciela najmłodszego (urodzonego w 1950 roku) pokolenia naszej literatury na zacytowane z „Próchna” stare pytanie, na które w jednym chyba stopniu udzielono do tej pory odpowiedzi wyzerpujących, co i niezadowolających.

TADEUSZ BŁĄŻEJWSKI

M. Sołtysik — „Domiar złego”, Czytelnik, Warszawa 1977, nakład 20290 egz., cena zł 26.—

BELCHATÓW

Telesy krążyły od kilku dni. Wiadome było, że ruszy 25 maja 1977 r. Tylko o której? Dla kolegów z gazet, tym bardziej tygodników, sprawa obojętna. Dla Dziennika Telewizyjnego rolę grały minuty. W odpowiedzi na dwie informacje z budowy otrzymane 24 maja wieczorem: że rusza o 10 rano i że rusza o 15 — jedziemy na dziewiątą. O tej godzinie wpadam jak bomba do gabinetu inżyniera kierującego budową. A tam są już wszyscy łódzcy dziennikarze, CAF, Interpress.

— No więc, kiedy ruszamy?

— Spokojnie. Niech panowie siedzą — mówi inżynier. — Po co ta nerwowość? Zbudowaliśmy ją spokojnie. Spokojnie uruchomimy...

Więc nie ma mowy o dokładnym czasie. Ale to zrozumiałe, przy tego rodzaju przedsięwzięciu trzy, cztery godziny w tę czy w tę... Czekajmy. Patrzę na inżyniera. Złatwia przez intercom jakieś sprawy wczasów. Temu trzeba dać, ten niech poczeka. „Spokojnie zbudowaliśmy...”, spokojnie uruchomimy...”

Jak to było z tym spokojem? Na belchatowskim złożu byłem z geologami, kiedy wiercili wśród sosnowych lasów, żabich stawików, błędników wsi, płaszczystych pól. Byłem w Piaskach przy kładzeniu pierwszych konstrukcji, niejako stępkę pod tę koparkę. Byłem, kiedy monterzy Mostostalu z wysokości już 40 metrów zmianałymi podmuchami lodowatego jesienno-wiatru łączyli w jedno grupowskie konstrukcje. I wtedy, gdy do stali przymarzały im ręce. Byłem, kiedy patrzyli bezradnie na odjeżdżające z placu montażu na inną ważniejszą budowę wysokościowe SKY-HORSY, dźwigi, bez których montaż stał. No i jak zawsze w takich wypadkach szła w okolicę płota, że z tym węgłem to lipa, bo już nawet koparkę składać przestali. Potem „Podniebne Konie” wróciły do Piasków i ruszyły galopem.

A czy teraz też jest spokojnie? Tam za kulisami? Na koparce, na jej domalowywanych jeszcze konstrukcjach wysokości 88 metrów? W jej wnętrzu naladowanym jak elektrownia silnikami, transformatorami, przetwornikami, sprężarkami, Bóg wie czym jeszcze? Czy jest spokojnie w innych pokojach baraków rozłożonych u stóp giganta?

Koło 14 patrzmy jak zniecierpliwiony fotoreporter i zarazem operator filmowy ze Stolicy rusza biegiem pod koparkę, filmuje co się da, fotografuje, wskakuje do pomarańczowego Flata 132 i odjeżdża. Jego sprawa. On już ją pewnie uruchomił... Poczekajmy. Z okien naszego Robura — w takich wypadkach niezawodnej redakcji na kółkach — patrzmy jak sprzątaczkę domowymi miotłkami zamiatają asfalt wokół gąsienic. Wyglądają przy nich jak mrówki. Coś zaczyna szumieć. Potem staje. Przed koparką gromadzą się ludzie w kaszkach z radiotelefonami. Start. Zaczyna się odmierzenie czasu. Jak na komnodromie. Albo raczej przy wodowaniu statku. Bowiem w istocie ruszy za chwilę samobieżna maszyna, która jest okrętem płynącym po piasku. W radiotelefonach meldunki o pracy poszczególnych urządzeń. I nagle na wszystkich spada z wysokości oliwny deszcz... Poszła uszczelka przy pompie czy tłoku olejowym, tam wysoko. Ci w kombinezonach

strzepują kropelki oleju z wyszmelcowanego drelchu. Reszta, która przyszła w koszulach, czy ortalionowych bluzach ma odzież zalatwioną. Ale gorsze, że ONA ruszy przez to później. Kiedy jest już uszczelka, spada na nas drugi deszcz, tym razem nitro. Rozpacz! Kamery filmowe, obiektywy aparatów spryskane na białe szybko schnącym lakierem. Jeszcze ktoś gdzieś coś podmalowywał! Inżynierowie od Kruppa przynoszą aceton. Próbuje umyć obiektywy. Czy uda się coś sfilmować?

Spokojnie — powiedziałby mój inżynier, spokojnie. O 18 zacznę odmierzać czas...

— Halo! M-jeden! Halo M-dwa-M-trzy. Jesteście gotowi? JEDZIE-MY!

Szum narasta gwałtownie. Gigantyczne gąsienice ruszają. Siedem i pół tysiąca ton konstrukcji ożyło i z szybkością 3 metrów na minutę wykonuje posłuszenie manewry na placu w Piaskach. Jutro ruszy w ślad za energową zwałowarką na miejsce przyszłej kopalni. Przez czterdzieści lat będzie ryla koparka ziemię nad złożem brunatnego węgla w okolicy Belchatowa i Szczercowa. Zmieni ten urokliwy krajobraz sosnowych lasów, czystych rzeczek w wododziale Widawki i biednych nie istniejących już dziś wiosek najpierw w płaszczystą pustynię, potem gdy zwałowiska nadkładu zostaną zalosionne, znów w zielony świat. Tyle, że w tym czasie wyrwie ziemi jej skarby, każdego roku przepali go w kotłowniach elektrowni Rogowicec na 4320 Megawatów energii elektrycznej. Bliżko 30 miliardów kilowatogodzin! To jedna czwarta produkcji energii wszystkich polskich elektrowni w roku 1974.

To w pierwszej fazie rozwoju belchatowskiego zagłębia górniczo-energetycznego.

Z dymnicowych pyłów robi się

bedzie budowane prefabrykaty, a o odrzutach węgla brunatnego już parę lat temu pomyślał dr Zbigniew Gertych w Skierniewickim Instytucie Warzywnictwa. Na tych odrzutach, mieszając je z torfem, który również znajduje się w zdejmowanym przez koparkę nadkładzie, można hodować wspaniałe warzywa. Widziałem je w szklarniach. A więc obok kopalni będą rosły lasy, będą i kompleksy szklarniowe grzewane wodą z układów chłodzenia kotłów elektrowni.

Wizja i rzeczywistość Belchatowa jest porywająca. I kiedy iście monumentalne gąsienice koparki wspierające jej główną wieżę oraz ciągnące się z tyłu odwłok podajnika transportowego młocą podsypany na placu pierwszy belchatowski piach, „ostrzegam, że czegoś tu brak! Gdyby to ruszał statek, rąbnęto by go w dziób butelka szampana, czy „Perlistego”. Gdy ruszał pociąg elektryczny między Kolaszkami a Częstochową — rznąła marsze kolejowa orkiestra. No i na pewno byłaby wstęga, która ktoś musiałby przeciąć. A przemowienia? A transparenty? SPOKOJNIE... Spokojnie — mówi inżynier. Zbudowaliśmy spokojnie. Spokojnie uruchomimy.

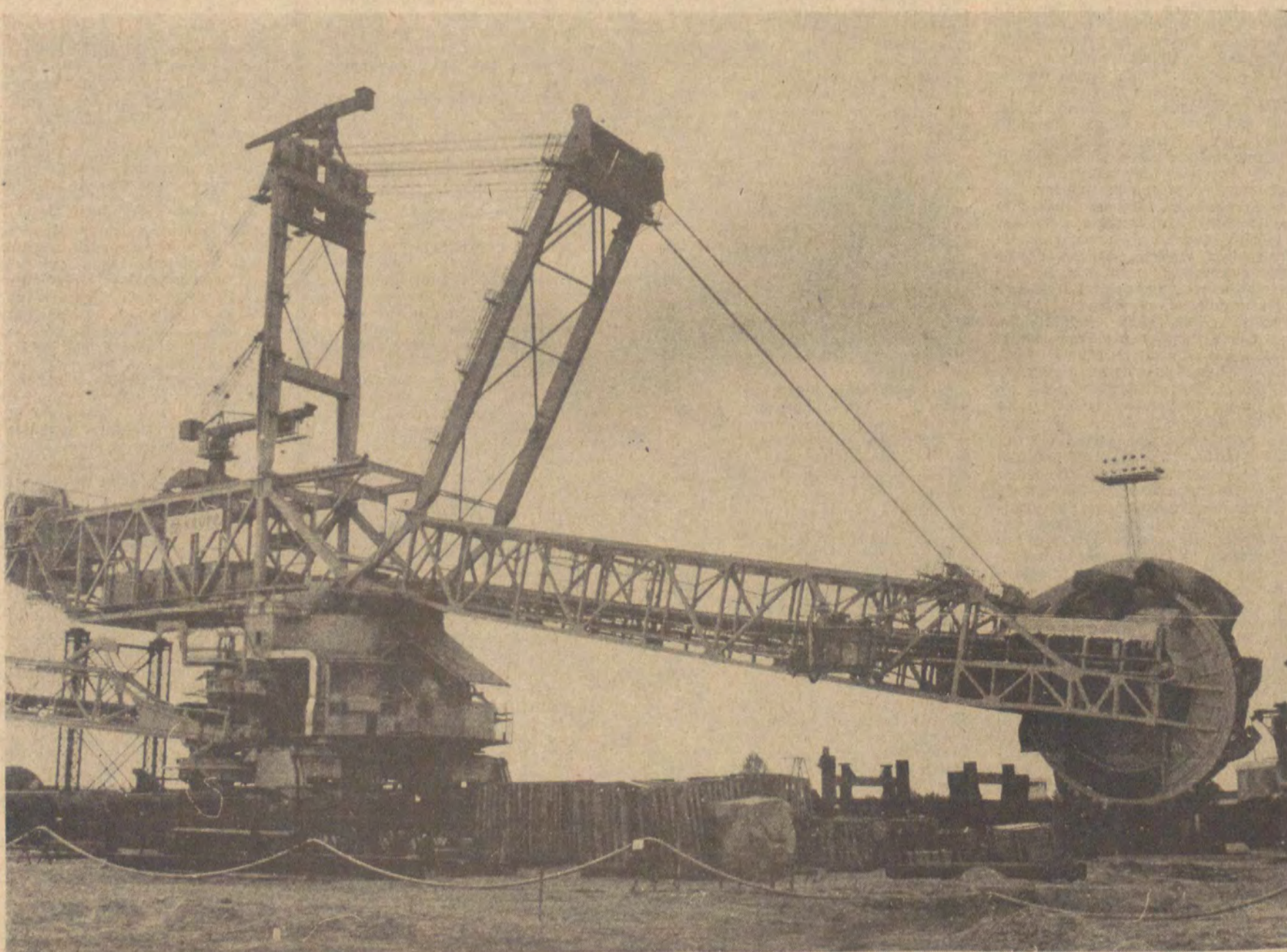
Uruchomili. Z godzinnym opóźnieniem, co w moim wypadku wpłynęło na fakt, że relacja reporterska z tego ważnego dla Belchatowa momentu ukazała się w DTV nie o godzinie 19.30 a o 23. Dawniej może rwałbym z tego powodu włosy z głowy. A teraz cytuję sobie inżyniera: Spokojnie!

Bo oni wszyscy w Belchatowie pokazali, co i jak można osiągnąć, gdy się robi spokojnie...

WIESŁAW MACHEJKO

(zdjęcia autora)

odliczanie przed startem



U PRZYJACIÓŁ

W związku z odbywającym się międzynarodowym spotkaniem pisarzy w Sofii pod hasłem „Pisarz, a sprawa pokoju, duch Helsinki, a powinność ludzi kultury”, redakcja moskiewskiego czasopisma „Woprosy Literatury” zwróciła się do czołowych radzieckich twórców z pytaniem: „Jaką rolę odgrywa dziś literatura w obronie pokoju i wartości humanistycznych, w walce o umocnienie przyjaźni między narodami?”. Na pytanie odpowiada:

MICHAŁ SZOŁOCHOW: Ciepłe, budzące nadzieje powieści dochodzące z Helsinki, nie tylko cieszą, lecz jeszcze w większym stopniu zobowiązują twórców duchowych wartości, w szczególności pisarzy całego naszego globu, do wyrażenia zdecydowanego potępienia tych, którzy jeszcze skrycie lub otwarcie — żywią nadzieję, że powtórzą się mroczne lata „zimnej wojny”.

Wiemy jak chwytliwe i nieuchwytnie jest rozgraniczenie między „zimną” i „gorącą” wojną, z jej niszczycielskimi następstwami, jakich ludzi umysł nie jest w stanie przewidzieć ani sobie wyobrazić.

Niestrudzenie walcząc o pokój, głosić jego życiodajne idee trzeba właśnie teraz, bowiem, kiedy w progach naszych domostw pojawi się wojna, będzie już za późno.

LEONID LEONOW: Uważam, że pokój, tak jak zdrowie, jest zasadniczym twórczym, z którego można ukształtować najwyższe wartości na ziemi.

Rodzajem nadziei wydarzeniu, jakim była konferencja w Helsinkach, przypisuje bardzo duże znaczenie. Jestem przekonany, że przyniesie ono oczekiwane rezultaty.

KONSTANTY SIMONOW: W XX wieku sprawa obrony wartości humanistycznych coraz ściślej związana jest z problemami wojny i pokoju, a w ostatnim trzydziestolecu — z najbardziej palącą i ogólnoludzką sprawą współczesności, jaką jest zapobieżenie trzeciej wojnie światowej i katastrofie jądrowej.

Pojęcie przyjaźni między narodami zawsze znajdowało się wśród wysocce humanistycznych idealów. Nieodwołność tej przyjaźni i wzajemnego poznania się, w większym niż dotychczas stopniu, jest w tej chwili nierozdzielnie związana z obroną pokoju, a tym samym i humanistycznych wartości nagromadzonych przez całą ludzką historię — przez poszczególne narody.

Wydaje mi się, że pisarz nie rozumiejący nierozdzielności tego związku, nie będzie w stanie przysporzyć realnych korzyści ani swemu narodowi, ani oczywiście ludzkości.

MIKOŁAJ TICHONOW: Ruch w obronie pokoju jest czymś równie naturalnym, jak słońce wschodzące codziennie nad naszą planetą. Porwał on miliony serc, aby uchronić ludzkość przed najstraszniejszą, straszliwą katastrofą, od zagłady w wojnie jądrowej. Nie ustanie w głoszeniu prawdy, czym jest wojna; przy wybuchu jednej tylko bomby wodowej wyzwala się energia przewyższająca siłę wybuchu wszystkich środków wyprodukowanych na całym świecie w latach drugiej wojny światowej. Nie wolno dopuścić do takiej katastrofy, której wyobrażenie przekracza nasze możliwości.

Humanizm w naszym pojęciu, zobowiązuje do rzeczywistości obrony człowieka, a w szczególności — pokój na całym świecie. Dlatego właśnie postawa radzieckich pisarzy w tej sprawie jest stanowcza i konsekwentna. Jej źródłem są duchowe poszukiwania naszych wielkich poprzedników, osobiste doświadczenia każdego z nas, potwierdzone doświadczeniami rozwoju całej literatury radzieckiej. Cieszymy się, że duch Helsinki przenika dziś do wszystkich dziedzin życia, że ruch w obronie pokoju przybrał taki rozmach, że narody dysponują siłą zdolną przeciwstawić się światowej katastrofie.

MIRZO TURSUN-ZADE: My, ludzie radzieccy, nie możemy zapomnieć tego, co przeżyliśmy. Dla nas — to 20 milionów poległych w czasie drugiej wojny światowej, miliony wdów i sierot. Dlatego pokój nie jest dla nas pustym hasłem. Pokój — to warunek istnienia dla każdego mieszkańca kuli ziemskiej. Dla naszych dzieci i wnuków. Szczegółowo udzieliłem w licznych akcjach obrońców pokoju, począwszy od Kongresu w 1949 r. w Paryżu. Jestem szczęśliwy, że udało mi się coś uczynić dla ruchu solidarności narodów Azji i Afryki. Gdziekolwiek się znajdowałem, nigdy i nigdzie nie spotkałem człowieka — człowieka pracy, który myślałby o wojnie...

Pokój zależy nie tylko od decyzji mężów stanu, lecz i milionów prostych ludzi. Pokój jest ludziom potrzebny. Trzeba pamiętać, o naszych dzieciach, trzeba myśleć o ich życiu.

Trzecie z kolei, na przestrzeni ostatnich 2 lat, spotkanie przywódców rozwiniętych krajów kapitalistycznych (tym razem w Londynie), potwierdziło jeszcze raz, iż najsilniejsze mocarstwo świata zachodniego — Stany Zjednoczone — widzą w uregulowaniu stosunków z sojusznikami wygodną okazję do zapewnienia sobie pozycji lidera zarówno w planie politycznym, jak i ekonomicznym, a w ostatecznym rachunku — zapewnienie amerykańskim monopolom hegemonii w stosunkach z sojusznikami.

Występując w przeddzień obrad w Londynie, prezydent USA przypomniał, że w jego kraju poziom inflacji i bezrobocia jest jeszcze wyższy niż w Japonii i w krajach niektórych zachodnioeuropejskich partnerów Stanów Zjednoczonych. Byłoby jednak grubym błędem sądzić, że to otwarte przyznanie się do słabości jest li tylko owym „otwartym stylem” amerykańskiej polityki zagranicznej. Stwierdzenie prezydenta USA służy

sprawę, iż obecne dryfowanie ekonomiki w stronę protekcjonizmu może zadać gospodarce zachodniej dotkliwy cios. Ponieważ dzisiejsza struktura międzynarodowej ekonomiki nosi bardziej kompleksowy charakter, gwałtownie wzrosła zależność państw Zachodu od handlu światowego. Na ten aspekt polityki ochrony przemysłu amerykańskiego przed konkurencją sojuszników zwraca uwagę nowojorski „Business Week”.

I tak, jeszcze jedna narada „siódemki” była nową próbą opracowania wspólnej globalnej strategii imperializmu — zwraca uwagę komentator polityczny „L’Humanite”.

Na porządku dnia narady w Londynie stały takie problemy jak: sytuacja ekonomiczna w świecie kapitalistycznym, dialog Północ — Południe, czyli stosunki krajów kapitalistycznych z Trzecim Światem, zakończone zresztą tylko propagandowym rezonansem, kwestie energetyczne, trudne problemy bezrobocia i inflacji. Na spotkaniu w Londynie, bardziej niż podczas dwóch pierwszych narad liderów wiodących krajów kapitalistycznych w latach: 1975 i 1976, odczuwano silnie wyraźne potężne techniczne kryzysu. Od czasów wielkiego kryzysu lat trzydziestych, nigdy jeszcze nie ujawniły się z taką siłą i w takiej skali ogólne wątpliwości, rozczarowanie, krytyka stosunków w ustroju kapitalistycznym. Stałe schorzenia kapitalizmu: bez-

dwóch minionych lat kryzys w świecie kapitalistycznym stale narastał i jest obecnie głębszy niż w latach trzydziestych. W 1976 roku na obradach w Puerto Rico były prezydent USA, G. Ford, powiedział, że „inflacja w znacznym stopniu zwała wywołana faktem, iż rządy krajów kapitalistycznych wzięły na siebie zbyt wiele obowiązków w dziedzinie zmniejszenia nierówności społecznych u siebie w domu i w innych krajach oraz zapewnienia stałego wzrostu poziomu życia”. G. Ford nawoływał wówczas do „nakreślenia bardziej realnych celów”. Rozwijając tę myśl b. prezydenta USA, amerykańska agencja prasowa Associated Press wyjaśniła, że prezydent „ma na myśli konieczność zwolnienia tempa wzrostu produkcji przemysłowej”. To, oczywiście, musiało prowadzić do zwiększenia bezrobocia.

W ten prosty sposób uczestnicy obrad w Puerto Rico zgodzili się co do tego, że za ciężkie skutki kryzysu powinny zapłacić masy pracujące. Strategia, którą przedstawił wtedy Ford, opracowana zresztą przez amerykańskie monopole, została wcielona w życie w sposób bezwzględny i realizowana w sposób wyrafinowany. Jej skutki — kilkanaście milionów bezrobotnych tylko w wiodących krajach kapitalistycznych — najmowniej ilustruje statystyka.

Rząd amerykański zaproponował więc, a ściślej mówiąc — narzucił mechanizm wielostronnej pomocy krajom najbardziej doświadczonym przez kryzys, głównie w sferze finansów. Był to Międzynarodowy Fundusz Walutowy, w którym USA zajmują pozycję wiodącą. We wszystkich przypadkach próby o pomoc, ostatnie słowo w podjęciu decyzji ma Waszyngton, jako główny wierzyciel. I, oczywiście, nigdy nie pomija w takich wypadkach okazji do wywierania politycznych nacisków. Już wcześniej system ten został wypróbowany na rozwijających się krajach, które otrzymują pomoc z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Organizacja ta ma zwyczaj żądania od petenta szczegółowych sprawozdań o jego sytuacji wewnętrznej, a następnie dyktuje swoje warunki dotyczące polityki w dziedzinie zatrudnienia i płac, a także polityki w ogóle. A zatem jest to instrument, którym można skutecznie sterować z zewnątrz polityką rządów różnych państw.

Spotkanie wielkiej siódemki w Londynie zakończyło się obietnicami dokonania próby uzdrowienia chorej ekonomiki USA, Zachodniej Europy i Japonii oraz pomocy Trzeciemu Światu. Podjęto bardzo mało konkretnych decyzji zmierzających do polepszenia ciężkiej sytuacji 16 milionów bezrobotnych w tych krajach. Każdy z siedmiu liderów złożył oświadczenie przedstawicielom prasy, podkreślając sukcesy osiągnięte na spotkaniu. Jak donosi korespondent londyńskiej gazety „Morning Star”, prezydent Francji, którego bardzo niepokoi ewentualne dojście do władzy zjednoczonych sił lewicy, wniósł do tych optymistycznych oświadczeń pewien dysonans, przyznając, iż bezrobocie jest „ideologicznym wyzwaniem rzuconym społeczeństwu kapitalistycznemu”. Także kanadyjski minister finansów, Mac Donald, powiedział, że zachodnim „teoretykom nie udaje się opra-

cować działań mogących zapobiec zjawiskom, z którymi walczy świat zachodni na co dzień”, oraz dodał, że chodzi tu o „wady systemu”.

Reasumując, można powiedzieć, że zarówno obrady w Londynie, jak i poprzedzająca je sesja rady NATO na najwyższym szczeblu pokazały, iż rządzące koła największych krajów burżuazyjnych zamierzają nadal zmuszać masy pracujące do dźwigania na swych barkach całego ciężaru tzw. ozdrowienia ekonomiki i dążyć do jeszcze większego rozkręcenia spirali zbrojeń, które pożerają kolosalne środki i prowadzą do zwyrodnienia ekonomiki.

JERZY CZECH

ECHA SPRAWY „CONCORDE”

Kiedy prezydent Carter najwinnie zapewnia, że port lotniczy im. Kennedy’ego „nie znajduje się pod jego kontrolą”, i że prezydent USA „nie jest w stanie zezwolić na lądowanie Concorde w Nowym Jorku”, żaden Francuz nie daje temu wiary. Uważa natomiast, że zawiązano nikczemny spisek, żeby zniszczyć piękny samolot. Istota sprawy polega jednak na tym, że ojczyzna wolnego rzekomo handlu gromko domaga się teraz swobodnego dostępu dla amerykańskich towarów na rynki całego świata i wprowadza w ruch cały arsenal bardzo przemysłowych i udoskonalonych środków, które hamują rozwój konkurencji, kiedy zaczyna ona przyszkadzać amerykańskim interesom. Warto tu przypomnieć słowa doradcy do spraw aeronautyki za prezydentury Nixon: „Jeśli techniczna wyższość Europy, dzięki wszystkim takim Concorodom, zwycięży po 1980 roku, to zupełnie możliwe, że każdy co trzeci samolot latający po świecie będzie europejski. Nie możemy do tego dopuścić!” Ekonomiczne lobby po tamtej stronie Atlantyku — pisze komentator paryski „Nouvel Economiste” — dysponują taką siłą, że mogą zmusić Kongres USA do dopuszczenia środków protekcyjnych, z którymi nie osmieliby się głosować u siebie najbardziej szowinistycznie nastrojeni posłowie francuscy.

Istotnie, na przykład ustawa Johnsa, podjęta dwa lata temu pod naciskiem kompanii budowy statków handlowych postanawia, że każdy handlowy rejs przez amerykańskie drogi wodne może się odbywać tylko na statkach zbudowanych w USA. Amerykańskie prawodawstwo jest nieprzebitym gąszczem, w którym każda zasadzka jest możliwa. Dojście do władzy Cartera zrodziło pewne nadzieje w Zachodniej Europie, na osłabienie amerykańskiego protekcjonizmu, ale, jak widać, nowa ekipa jest co najmniej tak samo nieprzejednana pod tym względem jak i poprzednia. Amerykańscy producenci dokładają wszelkich starań, żeby zalać swymi towarami rynek zachodnioeuropejski, nie dopuszczając jednocześnie europejskich towarów na rynki amerykańskie. Innymi słowy, Amerykanie głoszą wolność handlu, kiedy chodzi o wewnętrzne rynki innych krajów kapitalistycznych, ale u siebie trzymają się sztywnego protekcjonizmu. W tych ogólnych ramach mieści się także walka przeciwko Concorde. Sprawa tego nadźwiękowego samolotu pasażerskiego stworzyła Francuzom okazję do skierowania uwagi swoich europejskich partnerów na groźne niebezpieczeństwo: jeśli, w obliczu amerykańskiego protekcjonizmu, kraje Zachodu nie podejmą środków zaradczych, to najdalej w przyszłości w całym świecie, w całkowitej zależności od amerykańskich producentów. Stało się oczywiste, iż zasada wolnego handlu w świecie kapitalistycznym przekształca się w jeden z rodzajów broni w arsenale wojny ekonomicznej.

(J.C.)

PO SPOTKANIU W LONDYNIE

zupelnie określonymu celowi, mianowicie uprawdopodobnieniu amerykańskiej polityki protekcjonizmu — to po pierwsze i po drugie — zapowiedzi realizowania twardej polityki ekonomicznej w całym zachodnim świecie w ogóle, a także usztywnienia pozycji imperializmu w stosunkach z krajami słabo rozwiniętymi ekonomicznie. W USA opracowano już szereg posunięć mających na celu zahamowanie importu telewizorów z Japonii, stali z Europy i Japonii, obuwia z kilku krajów, a także cukru. Obecnie w komisji handlu międzynarodowego min. finansów USA oraz w urzędzie regulowania handlem czeka na rozpatrzenie około 30 skarg z żądaniem ograniczenia importu takich lub innych towarów z powodu strat, jakie ponoszą amerykańskie firmy. Żądania zwolenników protekcjonizmu rozlegają się także coraz głośniejsz w EWG. Wielu politycznych działaczy Zachodu, mimo wyrażanego optymizmu, zdaje sobie

robocie i inflacja gwałtownie zaostrzyły kryzys — energetyczny, walutowy i surowcowy. Wbrew gadaniom o wspólnym poszukiwaniu dróg wyjścia z tego zaułka, sprzeczności ustroju kapitalistycznego, anarchia w dziedzinie produkcji, żywiłowa konkurencja i współzawodnictwo znów wzięły górę, wykazując bankructwo mechanizmu stosunków między państwowych w systemie kapitalistycznym. Podczas pierwszej narady przywódców krajów zachodnich w 1975 roku w pałacu Rambouillet, były prezydent USA, G. Ford, powiedział m.in., iż każdy z uczestników tej narady jest przekonany, że zbliża się koniec największego z kryzysów ekonomicznych, „jakie przeżył świat po kryzysie lat trzydziestych”. Dalej b. prezydent USA powiedział: „Spotkanie to było owocne na wszystkich płaszczyznach. Podczas obrad rozpatrzyliśmy problemy ekonomiczne, które nurtują i niepokoją świat przemysłowy”. Jednakże w ciągu tych

WIECEJ DOBREJ WOLI KROK DO STAŁEGO KONTAKTU 10-LECIE AGRESJI DIALOG PÓŁNOC — POŁUDNIE

— Droga do pokoju nigdy nie była łatwa. Nie jest prosta również obecnie — te słowa Leonida Breżniewa z ub. tygodnia, wypowiedziane przy okazji pobytu w Moskwie oficjalnej delegacji bułgarskiej, przypominają prawdę naszych czasów, konieczność cierpliwego zмирzenia do celu, którym jest całkowite wyeliminowanie niebezpieczeństwa konfrontacji militarnej.

Sekretarz generalny KC KPZR powiedział też z całą otwartością czego strona radziecka oczekuje od przywódców niektórych krajów Zachodu: więcej gotowości do umocnienia i pogłębienia odprężenia. Już jako minimum niezbędne jest „wyrzeczenie się kroków, mogących stwarzać nowe problemy i trudności”.

Niestety, ostatnia sesja rady NATO wykazała, że wciąż myśli się o nowych zbrojeniach i planowaniu ich na wiele lat naprzód. Kto może być zainteresowany takim, niebezpiecznym przeciw biegiem wydarzeń? Tylko kompleks wojenno-przemysłowy, a więc ludzie, którzy z trwałym wyścigu zbrojeń czerpią ogromne dochody. Oni też natrętnie i wbrew logice bez przerwy mówią o

rzekomym zagrożeniu militarnym, istniejącym ze strony Związku Radzieckiego. Aż wierzyć się nie chce, że po tylu aktach ze strony ZSRR, zmierzających w zgoła przeciwnym kierunku, ktoś jeszcze chce wierzyć tym fałszerstwom.

Co mogłoby obecnie najlepiej zaktywizować proces odprężenia? Przede wszystkim pomyślnie zakończenie SALT-2 i podpisanie nowego porozumienia. Dlatego wciąż w komentarzach zachodnich powraca się do genewskiego spotkania min. Gromyki z sekret. stanu Vance, o którym pisaliśmy na tym miejscu przed tygodniem. Pisze się o nim z umiarkowanym optymizmem, podkreślając jednakże, iż Stany Zjednoczone nie zrezygnowały jeszcze z jednostronnych korzyści, a więc, że nie rozwiązano dotąd wszystkich głównych problemów, co jest konieczne w celu zawarcia nowego porozumienia o redukcji zbrojeń strategicznych.

Zmieńmy teraz temat, aby odnotować fakt, że ostatnio toczyły się w Waszyngtonie rozmowy przedstawicieli dyplomatycznych Kuby i USA. W ich następstwie uzgodniono, że niebawem powołane zostaną zespoły

dyplomatyczne obu krajów przy ambasadach krajów trzecich (czechosłowackiej w Waszyngtonie i szwajcarskiej w Hawanie), za pośrednictwem których utrzymany zostanie wzajemny kontakt. Nie jest to oczywiście nawiązanie stosunków dyplomatycznych, ale ważny krok na tej drodze. Jego znaczenie można mierzyć przypomnieniem, że jeszcze tak niedawno USA wykazywały wobec Kuby wiele wrogości.

Z różnych, często kontrowersyjnych w najwyższym stopniu, inicjatyw Cartera ta ma ocenę jednoznaczna, uważana jest za rozsądną i niezbędną.

W niedzielę minęła 10 rocznica agresji Izraela na kraje arabskie. Daje to okazję do refleksji na temat sytuacji bliskowschodniej... Jak wiemy — wciąż może ona niepokoić, gdyż nie spełniono został dotąd najważniejszy warunek pokojowej stabilizacji: wycofanie się agresora z zagarniętych i okupowanych ziem arabskich. Co więcej — ostatnie wybory w Izraelu, które — przypomnijmy — przyniosły zwycięstwo prawicowego bloku Likud, czyli by użyć określenia „Time” — superjastrzębi, nie otwierają pomyślnych perspektyw. A czas nagli.

Świat arabski przyjął ostatnio z zadowoleniem postanowienie min. Gromyki i sekret. stanu Vance, że Związek Radziecki i Stany Zjednoczone będą co miesiąc konsultować się w sprawach Bliskiego Wschodu i działać w kierunku zwolnienia jensienią br. konferencji genewskiej.

To rzeczywiście są ważne postanowienia. Aby jednak wznowienie obrad stało się faktem, a sama konferencja torowała drogę pokojowemu rozwiązaniu konfliktu niezbędne jest złamanie oporu Tel Awiwu, a klucz do tego mają w swym ręku USA. Tymczasem Waszyngton ciągle jeszcze nie wypowiedział się jasno, jakiego pokojowego rozstrzygnięcia oczekuje. Chodzi tu przede wszystkim o jego stanowisko wobec problemu palestyńskiego.

I tak w 10 lat po izraelskiej agresji mamy stan wciąż „ni wojny, ni pokoju”, napawający troską o dalszy rozwój sytuacji.

W depeszach z ostatnich dni dużo miejsca zajęły doniesienia o dialogu Północ-Południe, czyli o rozmowach 8 zachodnich krajów przemysłowych z 19 państwami rozwijającymi się. Na porządku dziennym były zagadnienia energetyczne, stabilizacji cen surowców i pomocy dla krajów tzw. trzeciego świata. Właściwie tematów było znacznie więcej, ale te uznano za najważniejsze. Do chwili oddawania komentarza do druku — nie nadeszła informacja, pozwalająca na stwierdzenie, że dialog ten przyniósł pomyślny rezultat, którego po obu stronach spodziewano się. Znamy nam do tej pory porozumienia są wprawdzie pewnymi ustępstwami na rzecz krajów trzeciego świata, lecz nie takimi, aby mogły usunąć dotychczasowe kłopoty.

W. SŁAWSKI

CIEŃ HUBERTA WAGNERA

Staje czasem człowiek wobec pytania: co robić dalej? Osiągnął już wszystko, co było możliwe i co teraz? Kusi się o powtórzenie sukcesu, czy dać sobie z tym spokój i wziąć urlop. I jedno i drugie wyjście jest możliwe i nikt nie powinien mieć o to pretensji, chociaż wszyscy zgodnie powiadają, że bardziej podobać się będzie postawa czynna, dążenie do powtórzenia sukcesu.

W podobnej sytuacji znaleźli się polscy siatkarze. Zdobyli wszystko, co w światowej siatkówce możliwe było do zdobycia: mistrzostwo świata i złoty medal olimpijski. Trudno byłoby po tym wszystkim mieć do nich pretensje, gdyby pofolgowali sobie trochę i spuścili z tonu. Pewnie, że każdy kibic wolalby, aby Polacy nadal byli niepokonani, aby szli przez świat od sukcesu do sukcesu. Tylko, że każdy kibic zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że człowiek nie jest ze stali i ma prawo do zmęczenia, do odpoczynku również.

Przykładem tu mogą być piłkarze, którzy po mistrzostwach świata w 1974 roku, rozspali się jako drużyna, przegrywali mecze nawet ze słabymi przeciwnikami i zostali wyeliminowani z mistrzostw Europy. Ale też nasza drużyna piłkarska przechodzi — jak wskazują na to fakty — pozytywne przeobrażenia, zaczyna tworzyć się nowy zespół, udanie zadebiutowało kilku młodych piłkarzy i możemy patrzeć z optymizmem w przyszłość. Cel przed piłkarzami jest jasny: wygrać eliminacje w swojej grupie, a później uplasować się na którymś z medalowych miejsc. Byłoby dobrze — który z kibiców o tym nie marzy w ciszy i samotności — aby było to miejsce wyższe od trzeciego, ale i potwierdzenie sukcesu sprzed 4 lat też przyjmijmy z zadowoleniem.

Z siatkarską sprawą jest trochę inna. Architekt ich sukcesu — jak to się często ładnie mówi — czyli trener Hubert Wagner zrezygnował z prowadzenia kadry narodowej zaraz po Olimpiadzie w Montrealu. Kazimierz Górski jakiś czas zespół jeszcze prowadził i to prowadził go w najtrudniejszym dla polskiej piłki nożnej okresie, kiedy drużyna narodowa przeżywała kryzys. Spadek po Hubercie Wagnerze wziął bardzo odważnie Jerzy Welcz, zdając sobie sprawę, że jeśli nie powtórzy sukcesu Huberta Wagnera, to ponieść osobistą klęskę.

Siatkarze osiągnęli wszystko co w tym sporcie możliwe jest na świecie, pokazali milionom kibiców, że siatkówka może być pasjonującym widowiskiem sportowym, zainteresowali tym sportem... I co dalej? To pytanie powtarzają sobie nie tylko siatkarze. To pytanie powtarzają kibice. Na to pytanie nie ma — jak do tej pory — żadnej odpowiedzi.

Hubert Wagner tymczasem trenuje siatkarzy warszawskiej Legii i wprowadził ich już do pierwszej ligi. Czasami zasiada przed kamerami telewizji, aby skomentować kłótnie z wydarzeń w sportowym świecie. Jest bohaterem filmu telewizyjnego „Kul” i bohaterem różnych prasowych wypowiedzi. Nad polską siatkówką nieustannie unosi się cień Huberta Wagnera. Jedni psy na nim wieszają, inni go chwala, a siatkarze ciągle nie mogą wyzwolić się spod „obsesji Wagnera”.

Hubert Wagner jest człowiekiem nieprzeciętnym. Nie ulega to dla mnie wątpliwości. A my bardzo nie lubimy ludzi nieprzeciętnych. Kochamy średniactwo. Jak ktoś jest średni, to my pomnik byśmy mu postawili. Za przeciętność. Ale niech tylko będzie wyższy ponad przeciętność, zaraz byśmy go niszczyli. Na różne sposoby.

Hubert Wagner jasno postawił sobie cel i konsekwentnie dążył do tego celu. Powiedział, że jego interesuje tylko złoty medal olimpijski i taki przywiózł z Montrealu. A to był błąd. Hubert Wagner pokazał, że można postawić przed zespołem bardzo wysoki cel i można tak postępować, aby ten cel osiągnąć. Tego mu już nikt nie zapomni i nie daruje. Teraz w dyskusjach o polskiej siatkówce nie mówi się już o celu, tylko o „metodach” Huberta Wagnera. Składane są deklaracje, że już nigdy nie pozwolimy się „lamać prawości” w siatkówce. My może nie osiągniemy tego, co Wagner, ale za to będziemy postępować, in a e z e j.

— „Do Igrzysk Olimpijskich w Moskwie — powiedział na łamach „Sportowca” Jerzy Welcz — mamy 4 poważne imprezy: mistrzostwa Europy w Finlandii, Puchar Świata w Japonii, mistrzostwa świata we Włoszech, i mistrzostwa Europy w 79 we Francji. Wszystkie te zawody, no może poza mistrzostwami Europy w roku poprzedzającym Igrzyska, traktuję prestiżowo. Nie twierdzą, że wszystkie wygramy. (...) Ale nie ukrywam, że w padnięcie ze strefy medalowej, w którejkolwiek z imprez, traktować będę jako niepowodzenie”.

Nie jest to zbyt jasne sprecyzowanie celów. Bądźmy jednak sprawiedliwi i dajmy spokojnie działać Jerzemu Welczowi. Nie ma sytuacji łatwej. Siatkarze nie mieli jeszcze większej okazji pokazać na jakim są aktualnie poziomie.

Siatkówka ciągle budzi zainteresowanie, gdyż ciągle jest aktualne pytanie: co dalej? Byłoby jednak dobrze, aby w dyskusjach o przyszłości polskiej siatkówki szukać przede wszystkim sposobów osiągania celów, a nie powracać ciągle do tego, jakim to trenerem był Hubert Wagner.

BOGDA MADEJ

KSIĄŻKI W DRUKU

VIII

Należć ulokował Karola w luksusowym pokoju domu wczasowego, rozgłaszał równocześnie wszem wobec, że gość cieszy się szczególnymi względami dyrekcji a to dlatego, że przyjechał ze stolicy i dużo wie, nie mówiąc już o plecach, które sięgają od Warszawy poprzez Łódź do Krakowa i rzeczą prostą z powrotem.

— Strój dowolny, chociaż niepełnie, Karolu. Spodnie szare, najlepiej z flaneli, buty żółte, albo brązowe, luźny sweter, kołnierzyk koszuli wyłożony. Oczekujemy za godzinę w białym salonie.

Karol chwycił garściami znakomity humor Należca, chciał jak najszybciej zapomnieć o powrocie z pania Marią.

— Zrobi się co można. Jakiej mam się spodziewać uroczystości?

— Żadnej, normalna agapa na znak jedności jednako urodzonych.

— A co to jest agapa?

— Wspólna wieczerza dawnych chrześcijan, obecnie czytają tak: obiadokolacyjka w czysto męskim gronie, której zasadniczym celem jest powitanie ciebie i wybór nowych wiezzeń. Bywał, zacy przybysz.

Karol rozebrał się i skoczył do wanny, mył się starannie i długo jakby chciał splukać z siebie całą przeszłość, po to, by mógł rozpocząć wszystko od nowa w miejscu, którego nie znał i pośród ludzi, których na oczy nie widział. Odświeżony, uśmiechnięty do życia, wystrzelił się w czystą koszulę (mały skurcz serca, prasowała ją pani Maria) kołnierzyk wyłożył na sweter i wyszedł na balkon. Przedwieczorne mgły zesłyły w głębokie doliny i tak powstały senne, ciche jeziora, siwe, mleczone, nieprzejrzyste, ponad nimi łagodne góry sięgały ciemniejszego błękitu. Oddychał głęboko i dziwnie lekko czystym powietrzem. Jeżeli jest Bóg — rozmyślał — to przecież będzie chciał dobieść chociaż na jednym człowieku, że jest sprawiedliwy, dlaczego w takim razie ja nie miałbym być owym wybrańcem, upomnianym dotąd, karany, a nigdy nagradzanym? Awantury popoło — zaśpiewał wesoło, przejrzał się raz jeszcze w lustrze i zszedł na agapę.

W błękitnym saloniku panował delikatny półmrok, paliły się tylko różowe kinkiety, kapitałe połączenie — zauważył Karol. Od stołu siedzi przyjemny, ostry zapach przypraw. Byłszy lekko kieliszki, raz różowo, raz błękitnie.

— Witamy cię, dzielny Karolu, sam widzisz jak mały jest świat.

I przez Falansteru — pod Zieloną Koniczyną chwycił zaskoczony Karola w ramiona.

— Należca znasz, więc ci go nie będę przedstawiał, a pozostali panowie i zarazem członkowie chrześcijańskiej komuny, reprezentują wszystkie godne szacunku zawody. Od lewego — dyrektor ośrodka wczasowego przedwojenny magistr Jerzy Rodacki, urodzony za wcześnie albo i za późno, to się okaże, bo można być, że w sam raz, obok perla naszej palestry mecenas Oktawiusz Romanus, nazwisko prawie autentyczne, dalej, panowie baczność — pułkownik Sek Srebrzyński z prawdziwego wojska polskiego, bohater dwóch wielkich wojen, z kolei inżynier Ignacy Labuda, właściciel wytwórni urządzeń elektrycznych, nie uznaje władzy rad, ale uznaje potrzebę elektryfikacji, stoi przy nim doktor teologii Bonaventure Kempisty, były prałat domowy i nasz wódz ale duchowy, bo na wojnie i polityce zna się jak kura na pieprzu, no i ja — Bartłomiej, prawdziwy chłopski Bartłomiej Miodny, syn zwykłego młynarza, obecnie dyrektor Państwowych Nieruchomości Ziemijskich na tutejszym terenie, ekonomista do tego, a znany ci hrabia Wiktor Należca, eks-stróż nocny, zajmuje się organizowaniem życia kulturalnego ogólnego i grzesznych. Grzebali w szufladach, szafie, łóżku, pod podłogą, zagłądali do kaloryferów, takie ich prawo, a potem poczuli się zaproszeni przeze mnie na kawę, siedzieli, pili kawę i bardzo prosili, żebym im opowiadał o sobie i czekał na sztandar.

— Jesteś pewien, młynarczyku, że akurat na sztandar?

— Jestem. Właśnie tego wieczoru Karol miał mi go przynieść, chyba domyślił się tego, ale nie był pewny. Ale Karol był pewien i podrzucił sztandar jednemu takiemu asowi wywiadu, w ostatniej chwili, no i as nie zdażył ich w porę wymeldować ode mnie. Koronkowa robota między nami mówiąc.

— A na co ci był ten sztandar potrzebny?

— Nie mnie, hrabio, nie mnie, tylko walczącej Polsce. Miał się po niego zgłosić łącznik z dowództwa wojskowego, ale po uprzednim zawiadomieniu.

Należca roześmiał się.

— Panowie bardzo śmieszni, moje wy anachroniczne żołnierzyki, najwyższy czas, żebyście powychodzili z lasów i nor, niczego szabelką nie zwójujecie.

— Gratuluję ci numeru ze sztandarem, majstersztyku!

— Nie miałem innego wyjścia.

— Miałeś, mogłeś mi go odnieść. Posiedziabym sobie wtedy, ale nie na tym krześle.

Zdumionemu Karolowi przyszło na myśl po słowach Miodnego, że fakty znaczą wszystko a intonacje nic. Bo i jakże to w końcu było? Chciał się

odciąć, miał już dość eleganckiej ale i niebezpiecznej zabawy w towarzystwie Zagórzańskiego, jego nietykanej żony, czy prezesa falansteru. Wyczuwał, a chwilami był pewien, że mają większe czy mniejsze ale konkretne powiązania z podziemiem, biorą udział w organizowaniu jakiejś antyrządowej manifestacji, dalekiej od studenckiej draki, może chcieli wyjść na ulice podczas referendum pod tym właśnie sztandarem? Nie chciał mieć nic z tym wspólnego. Stefana nie tylko szczerze lubił, ale i szanował, nie chciał jednak brać udziału w jego sprawach czysto służbowych, chciał sztandaru to go dostać. Intencja jasna, chyba czysta, a teraz fakty mówią, że wyratował

— A niby czym mamy wojować, jak nie orężem? To jedyny język, który komuniści rozumieją.

— Trzeba zwyciężyć zwykłą większością głosów. W Sejmie, Związkach Zawodowych, w każdej organizacji, wszędzie, gdzie się jeszcze głosuje.

Pułkownik Sek Srebrzyński uderzył kilkakrotnie nożem w kryształowy kieliszek, wstał, obciągnął marynarkę i chrząknął przepisowo. Zablisko górne światło. Należca szepnął Karolowi w ucho.

— Wygląda na Szwejka w randce co najmniej generała, specjaliści od przegranych bitew i uroczystych kapitulacji, co za głos.

— Panowie — zapiał pułkownik — wypijmy za ojczyznę, która jest zbior-

wytlumaczyć sobie panowanie szatana nad światem? Świadkowie Jehowy twierdzą, że dysponują szóstym zmysłem, nikt więcej tylko oni, a ten zmysł szósty pozwala im odróżniać bezbłędnie prawdę od fałszu, wystarczy czytać Biblię i żadnej książki więcej. Nie możemy się zgodzić na sprowadzanie lektury do jednej książki. Co nasz gość o tym sądzi?

Karol ripostował z miejsca.

— Nie jestem tęgi w wierze świadków Jehowy, należałem bowiem do sekty Metodystów, owych studentów z Oxfordu i jak oni układałem sobie plan zajęć naukowych i metodę życia. W nocy bywałem stróżem fabrycznym najsurowszej reguły, od świtu postnikiem śniadaniowo-obiadowym. W ciągu dnia zmieniałem się w maratończyka, biegalem na seminaria, ćwiczenia i wykłady po całym mieście, od kina Wisła do Sądu Wojewódzkiego, od szpitala do nocnego lokalu, który w ciągu dnia z powodzeniem pełnił obowiązki sali wykładowej, bywałem i samarytaninem, pomagałem zbierać się starym profesorom w garderobach tncerek, rzadko kiedy bywałem kochankiem, metodyści zachęcają wyraźnie do ascezy, byłem więc ascetą umiarkowanym bez kwalifikacji na świętego i jeszcze dzisiaj cenię sobie noce spędzane na belach bawelny, żywo przypominające pobyt Mojżesza na pustyni.

— Natchniony, jak nie wiem którego Boga kocham, natchniony!

Bonawentura Kempisty skoczył do Karola i pocałował go trzykrotnie w czoło. Miodny szepnął Karolowi wprost do ucha:

— Masz u mnie nominację na wicedyrektora, umiesz przyciągać ludzi.

Karol podziękował za nominację uprzejmym skinieniem głowy. Był już pewien, że uczestniczy w dziwacznej może ale ciekawej zabawie, a nawet pouczającej. Nie mógł jednak dociec, czemu ci ludzie tak się bawią. Należca kontynuował wykład nadal pół żartem, pół serio. W moich rodzinnych stronach, panowie, szukano wiary w warunkach absolutnej tolerancji, płatali się du-hoborcy czyli molokanie, niemolacy, subotnicy i tolstojowcy, którzy wierzyli chyba nie bez pewnych racji, że wszelka władza, hierarchia społeczna, stosunki podległości i zależności, to dzieło szatana. Nie będziemy się nimi zajmować, poprzestaniemy na stwierdzeniu i człowiek szuka wiary, i nie wolno mu jej narzucać. Nie będziemy się nimi zajmować i dlatego, że zajął się nimi kto inny po sąsiedzku. Dzisiaj natomiast rozważmy sprawę przyjęcia, albo demokratycznego odrzucenia wiary Świętych Dnia Ostatniego. Mam, panowie, do czynienia z sekta ascetów, nie piła i nie pała, zamiast wina używają wody, stąd zapewne nie zyskali w naszym kraju wielu zwolenników. Wyjątek stanowi Filiponi, bardzo do nich zbliżeni, którzy występują w niewielkich ilościach na północy kraju w mazurskich borach. Proroekiem Świętych Dnia Ostatniego jest nieznany bliżej z ankiety personalnej Mormoni, a także jego syn Moron. Obaj zapisali nauki Chrystusa w złotej księdze, rzecz prosta najdokładniej ze wszystkich, którzy Chrystusa słuchali, ale pech chciał, że złota księga zaginęła. Na szczęście objawiła się niejakiemu Smithowi i od niego wieny, co wiemy, a nawet więcej, ponieważ Smith miał dużą fantazję. Mormoniowie, bo tak zwie ich się potocznie, są zjadliwymi wegeterianami, co warto mieć na uwadze, jeżeli się myśli o wroście pogłowia.

Karol bawił się znakomicie. Popierany przez pułkownika twierdził stanowczo, że Mormoni przydali by się krajowi ze względów czysto gospodarczych, na kilka lat, póki trzoda nie odródnio, po wojnie zawsze brakule przez pewien czas mięsa, ale w sumie mormonizm nie da się zaszczepić ze względu na ścisłą ascezę, obcą naszemu narodowemu charakterowi.

Bonawentura Kempisty, jako były duchowny wstrzymał się od głosu, nie chciał być posądzony o stronnictwo, reszta głosowała przeciw. Kelnkeri pracowały sprawnie i dyskretnie, na stół weszły dania gorące — bigos myśliwski z grzybami, opiekane pstragi i pieczeń z dzika. Należca otrzymał gorące podziękowania i zgodził się przygotować referat na temat Adwentystów.

— Całkiem ładna zabawa, dawno nie widziałem takiej.

— Ale bardzo smutna.

— A czemu smutna?

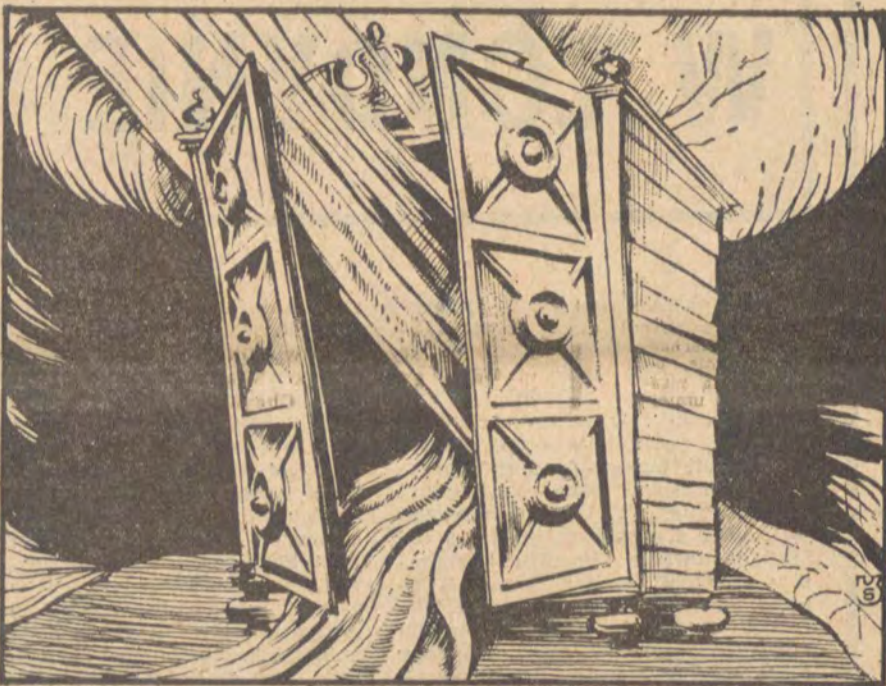
— Pozory i nic więcej. Chcę jeszcze znaczyć, za wszelką cenę znaczyć, robić wielką politykę, rządzić też by chcieli, ale najpierw chłop musiałby oddać ziemię, robotnicy fabryki. Sam widzisz, że to niemożliwe, cesarstwo rzymskie upadło, a cóż dopiero oni.

Miodny objął czule Karola.

— Będziesz u mnie kimś, rozumiesz? Już masz to załatwione.

Wiesław Jajdzynski

przygody źle urodzonego studenta



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Miodnego z opresji. Inaczej mówiąc — nie da się zwać, uciec, wziąć urlopu od rzeczywistości, myślisz, że pozbywasz się towaru, a tymczasem kupujesz, chcesz czy nie chcesz ten sam niewygodny towar. Chcesz zmienić życie a trafiasz do stałych znanych.

— A to nawet ciekawe co powiedziały przychłopski polityku — do rozmowy wrócił się Należca Wiktor Ksawery — rzeczywiście mogli cię wsadzić?

— Bez pudła i do pudła, panie hrabio. Przyszło do mnie takich dwóch, weale nie smutnych, powiedziałbym pogodnych i grzesznych. Grzebali w szufladach, szafie, łóżku, pod podłogą, zagłądali do kaloryferów, takie ich prawo, a potem poczuli się zaproszeni przeze mnie na kawę, siedzieli, pili kawę i bardzo prosili, żebym im opowiadał o sobie i czekał na sztandar.

— Jesteś pewien, młynarczyku, że akurat na sztandar?

— Jestem. Właśnie tego wieczoru Karol miał mi go przynieść, chyba domyślił się tego, ale nie był pewny. Ale Karol był pewien i podrzucił sztandar jednemu takiemu asowi wywiadu, w ostatniej chwili, no i as nie zdażył ich w porę wymeldować ode mnie. Koronkowa robota między nami mówiąc.

— A na co ci był ten sztandar potrzebny?

— Nie mnie, hrabio, nie mnie, tylko walczącej Polsce. Miał się po niego zgłosić łącznik z dowództwa wojskowego, ale po uprzednim zawiadomieniu.

Należca roześmiał się.

— Panowie bardzo śmieszni, moje wy anachroniczne żołnierzyki, najwyższy czas, żebyście powychodzili z lasów i nor, niczego szabelką nie zwójujecie.

rowym obowiązkiem każdego pojedynczego człowieka i armii jako całości jak powiedział Napoleon przekraczając Niemcy.

— Bij chłama w mordę ducha Norwida — szepnął hrabia.

— Zdaje mi się, że ja śnię, hrabio.

— Nie śnisz, Karolu i nie będziesz śnił kiedy ja przemówię, a właśnie nadchodzi moja kolej.

Należca wstał, wyciągnął z kieszeni notatki, jak do odczytu. Karol w dalszym ciągu pił oszczędnie, nikt go zresztą nie przymuszał, co pozwalało sądzić, że nie uczestniczy w zwykłej bibie, kończącej się zazwyczaj ciężkim kacem. Jak więc się ta biba ma skończyć? Przyjęciem deklaracji ideowej, programu wspólnego działania?

O co w końcu tym ludziom chodzi? Walczą jeszcze o jakieś tam swoje zwycięstwo czy już umierają w bardzo przyjemny sposób? A cóż za głupstwa wygaduje Należca? Kryzys wiary, proszę panów, jest faktem, zgadza się z tą smutną konstatacją również ksiądz prałat domowy Kempisty, obecny pośród nas. Zrzucił sułannę, ponieważ widział jak podczas wojny hańbiono podstawowe zasady wiary, a jego Najwyższy Bóg milczał. Stoimy przed trudnym wyborem nowej wiary, trudnym lecz koniecznym. Poprzednim razem odrzuciliśmy zgodnie propozycje Świadców Jehowy, nie możemy się zgodzić z tezą jakoby światem rządził szatan, i reszty przyjąć niepodobna. Jeżeli papieści nie dowiedli istnienia Trójcy Przenajświętszej, to świadkowie tym bardziej nie przekonali nas, że jej nie ma. Czemuż milibyśmy wierzyć, że Chrystus jako pierwszy archanioł został stworzony przez Jehowę, który już niczego więcej nie uczynił polecając Chrystusowi stworzyć resztę, to znaczy aniołów, a z mniejszych rzeczy — świat. Jakże w takim razie

(cdn.)

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

SPOJRZENIE Z HELIKOPTERA

W „Prawie i Życiu” stały felieton pisze autor podpisujący się kryptonimem „Kamerton”. Ostatnio poruszył on problem pozornie marginesowy, a mianowicie... deptanie trawników. „Kamerton” twierdzi — i ma rację — że jest to „rodzaj meczu między władzą a obywatelami”. Oczywiście mało kto depta trawniki na złość dyrektora Zielonej Miejskiej. Jeśli każdej wiosny odbywa się w całym kraju powszechna „zabawa w deptanie”, to dlatego, że władze od zieleni lekceważą interesy obywateli.

A można (i nawet trzeba) inaczej. Otóż — pisze „Kamerton” — swego czasu jedno z przysiółków dzielnicowych rad w Warszawie ustawiło zamiast nieśmiertelnych „Sznuj zieleń”, tabliczki, z których wynikało, iż tytułem eksperymentu należy... deptać trawniki. I w

ten sposób wydeptane zostały ciagi, które następnie podniesiono do godności chodników, kładąc na nie płyty lub lejąc asfalt. Genialny pomysł przetrwał niestety jeden sezon. Skądinąd wiem, że na przykład w Moskwie zimą fotografuje się z helikoptera tereny przeznaczone na zieleńce i trawniki, aby potem wiosną planować według ciągów wydeptanych przez mieszkańców. Tylko, że w Moskwie ów genialny pomysł realizuje się konsekwentnie od lat, ku zadowoleniu i pożytkowi zarządu zieleni miejskiej, lokatorów i samej zieleni. A u nas nadal wytycza się ścieżki nie dla ludzi, lecz żeby się ładnie komponowały na plany.

Planowanie bowiem polega na takim współgraniu interesów aby nie tworzyły się sytuacje konfliktowe. Stara pra-

wda, genialny pomysł — nie tylko na jeden sezon.

Zieleni miejska nie jest jedynym teatrem, na którym odbywa się mecz wiedzy władzą a obywatelami. Wyjątkowym wydarzeniem tej wiosny była sprawa ogrzewania mieszkań. Dawno już nie odbywał się taki mecz ping-pongowy na linii: przepisy — temperatura. Przepisy okazały się wątpliwe, temperatura niewątpliwa a wszelkiej maści dyrektorzy niezdolni do podjęcia samodzielnej decyzji w oczywistej sprawie. Jak zwykle decyzja musiała zapadnąć na szczeblu ministerstwa (w tym wypadku Energetyki i Energii Atomowej). Ale była to i tak decyzja machiavelliczna, więc sytuacji nie zmieniła.

Jeszcze lepszy numer wymyślono z podręcznikami szkolnymi. Handlować nimi będą...

szkoły, konkretnie nauczyciele, którzy, jak wiadomo, mają zbyt wiele czasu. Młodzież natomiast uczyć się będzie na tej operacji zasad nowoczesnej ekonomii. Uczeń zobowiązany jest do sprzedania swojego używanego podręcznika za 50 procent wartości, a jednocześnie kupował będzie używany podręcznik starszego kolegi za... 70 procent wartości.

Już dziś rozpoczęły się w szkołach ligowe rozgrywki o otrzymanie podręczników — zwłaszcza w starszych klasach, gdzie uczniowie mają w perspektywie egzaminy maturalne, egzaminy na studia i do innych szkół.

Myślę sobie, że jednak — podobnie jak w moskiewskim zarządzie terenów zielonych — warto, aby ktoś czasem wsiadł do helikoptera i spojrzal na parę spraw z góry. Z wysoka drobniaki stają się niewidoczne, ale całokształt spraw nabiera mądrej perspektywy.

WIDOK



UPADEK JERYCHA

O twórczości Artura Lundkvista, wybitnego pisarza szwedzkiego, sporo można było przeczytać w ostatnich tygodniach na łamach naszych czasopism. Zainteresowanych odwołamy do 22 numeru „Kultury”, w którym opublikowana jest rozmowa Karola Sawickiego z pisarzem, w której to rozmowie Lundkvist mówi nie tylko o swojej twórczości, ale wypowiada się również o sytuacji we współczesnej literaturze światowej. Polskimi czytelnikami, znającymi choćby „Vindigenski wale”, „Konec nocy” czy „Róża wiatrow”, nie potrzebują chyba bliżej przedstawiać tego pisarza. Przypomnijmy tylko, że jest autorem wielu tomów wierszy, esejów krytycznych, reportażów literackich, powieści, noweli i opowiadań, działa społecznie i politycznie, jest laureatem Nagrody Leninowskiej w 1958 roku.

Twórczość Lundkvista cechuje afirmacja życia, plastyczność obrazów, ludzka myśl, zaangażowanie we współczesność. Pisząc o człowieku stara się wydobyc to, co w jego psychice jest podświadome i głęboko ukryte. Łączy realizm z fantazją, potrafi rzeczywistość przemienić w poezję.

Wszystkie te elementy odnajdą Czytelnicy w wydanym niedawno tomiku „Upadek Jerycha”, zawierającym trzy opowiadania Lundkvista. Tytułowe „Upadek Jerycha”, będące parafrazą biblijnej opowieści o „Małej kobiecie, dużo dzieci” i „Człowieka, który chciał być Bogiem”.

Artur Lundkvist — „Upadek Jerycha”, wybrał i przełożył Z. Łanowski, PIW, W-wa 1977, str. 82, cena zł 13.—

JAK ŚLADY NA WODZIE

Francuski pisarz, Jean Bruller, urodzony w 1902 roku, znany jest czytelnikom pod pseudonimem Vercors. Inżynier z wykształcenia, dał się najpierw poznać jako rysownik. W okresie okupacji, związał się z francuskim Ruchem Oporu. Był jednym z założycieli konspiracyjnego wydawnictwa Les Editions de Minuit, które zaczęło się ukazywać w roku 1941. Wówczas też Vercors rozpoczął swoją twórczość literacką. W owym właśnie wydawnictwie, w roku 1945, ukazało się jego słynne opowiadanie: „Milczenie morza”, przełożone później na kilkadziesiąt języków. Pierwszy przekład polski, opublikowany został w 1958 roku. Znaczącą część utworów Vercorsa dotyczą spraw związanych z wojną i przeżyciami okupacyjnymi. Ale już wtedy pisarza interesowały przede wszystkim problemy moralne. Pozostał w tym kręgu tematycznym do dziś.

W PIW ukazała się jego nowa, czterdziestoletnia, powieść „Jak ślady na wodzie”. Nie pozbawiona dramatycznych akcentów fabuła opowiada o przeżyciach dwójki kochających się ludzi. Niełatwa, nieszbiblowana to miłość, o postaci bohaterów również trudno znaleźć do przeciętnych ludzi, toteż ścieranie się dwu indywidualności stanowi główny wątek książki. Dodajmy jeszcze do tego samotną i wydawałoby się beznadziejną walkę o życie, morze, które w powieści Vercorsa jest nie tylko tematem opisywanych wydarzeń, w świecie otrzymaliśmy książkę, która nie tylko czyta się doskonale, ale i która zmusza do refleksji.

Vercors — „Jak ślady na wodzie”, tłumaczył J. Trzaska, PIW, W-wa 1977, str. 139, cena zł 26.—

DZIEŃ SZARAŃCZY MISS LONELYHEARST

W czytelnikowskiej serii „Nike” ukazał się tom prozy Nathanaela Westa zawierający dwie jego powieści: „Dzień szarańczy” i „Miss Lonelyhearst”. Były one już wprowadzone w Polsce wydane, ale od pierwszej edycji minęło czterdzieści lat i dobrze ze zdecydowano się na — w sensie — wyciągnięcie z zapomnienia i z twórczością pisarza amerykańskiego, książka ta porównała w właściwe umiejscowienie zasług Nathanaela Westa we współczesnej literaturze Ameryki. West był autorem czterech powieści i wielu opowiadań z których część do niedawna jeszcze pozostawała w rękopisach. Zmarł młodo, zginął w wypadku samochodowym w roku 1940, mając trzydziście siedem lat. Już wtedy widziano w nim świetnie zapowiadającego się pisarza, choć głównie ceniono go za scenarzystę, których napisał około siedemdziesięciu. Blisko związany z Hollywoodem, znał doskonale środowisko filmowe i te doświadczenia wykorzystywał także w swojej prozie. „Dzień szarańczy” opowiada właśnie o grupie ludzi — żyjących rozbitków, którzy sięgnęli do Hollywood z nadzieją zrobienia oszałamiającej kariery. Wiele w tej powieści również własnych przeżyć pisarza.

Twórczość Westa zaczęto właściwie oceniać dopiero w ostatnich latach. Wskazywano na jego oryginalne, surowe, ale i jednocześnie nie pozbawione liryzmu i ciepła spojrzenie na społeczeństwo amerykańskie. Coraz częściej wymienia się jego nazwisko wśród nazwisk pisarzy dziś już zaliczanych do klasyków współczesnej prozy amerykańskiej. Tym bardziej warto sięgnąć po tom przygotowany przez „Czytelnika” Miłośnik dobrej, interesującej prozy na pewno nie dozna zawodu.

Właściwie już z pewnym zażenowaniem piszemy o nagminnych niemiłych przypadkach niechlujstwa drukarzy, którzy wypuszczają na rynek księgarski zdefektowane egzemplarze. W naszym brakuje — uwaga kupujący! — stron między 322 a 331 stroną. Pretensje kierujemy tym razem do Drukarni Wydawniczej w Krakowie.

Nathanael West — „Dzień szarańczy”, „Miss Lonelyhearst” tłumaczyła M. Skibniewska, Czytelnik, W-wa 1977, str. 364, cena zł 35.—

GAWĘDY O PRZYJĘCIACH

Marie Iwaszkiewicz lubimy za to, że zdradza nam wiele niebanalnych przepisów kulinarnych i za to, że smacznie i lekko i przyjemnie o jedzeniu — dobrzy — nam opowiada. I jeszcze za to, że roztańczyła nam przed oczami (a może ziołkami?) wspaniałe wizje znakomitych potraw nie podlega, jak to czyni wredny buchalter, ile to kalorii nam grozi, jeśli na przygotowanie i zjedzenie tych znakomych potraw się zdecydujemy.

I znowu mamy okazję jeszcze bardziej polubić Marie Iwaszkiewicz. Ukazały się bowiem jej „Gawędy o przyjęciach”, w których autorka, we właściwy sobie sposób, uświadamia nam, co to jest przyjęcie, jakie powinno być, z kim najlepiej bawić się w te przyjęcia, co podać, jak przygotować wreszcie, jak się zachowywać lub jak się nie zachowywać w tych okolicznościach. Podpowiada, poucza, doradza, ale z taktem, z umiarem, z przyróżeniem oka, często a generalnie — z uśmiechem. I nie lekceważmy jej książeczki, bo tak po prawdzie to nie bardzo umiemy sobie radzić z gośćmi zapomnieliśmy o dobrych obyczajach, a już na pewno niewiele gospodyń i gospodarzy ma tę cudowną cechę pozwalającą przyjmować w swoich domach gości i Maria Iwaszkiewicz to umie! I doprawdy sporo się można od niej nauczyć.

„Zależy mi na pielęgnowaniu tradycji gościnności, zastawieniu w niej tego, co uważam za miłe, zabawne, godne przypomnienia, odgrzebania, wyłączenia na światło dzienne. Podobnie jak starożytnie kufelki i kawy na łosku — przez długie lata nie uznawane — dziś wracają na honorowe miejsca w naszych domach” — pisze M. Iwaszkiewicz.

I ma rację. Tyle, że kiedy zaczyna pisać o zastawach stołowych o odpowiednim doborze koloru talerzy, obrusa i serwetek, o różnorodnych naczyńkach, naczynekach i sztućcach, o tych wszystkich detalach, które nadają stółowi ostatecznego eleganckiego szlif — to właśnie wtedy wielu gościnnych opadają ręce. Bo gdzie to kupić? To, co oferuje nam przemyśli i handel... Eh, po co psuć sobie dobre nastroje.

Marie Iwaszkiewicz — „Gawędy o przyjęciach”. Wydawnictwo „Watra”, W-wa 1977, str. 143, cena zł 28.—

LEWYM OKIEM

PRZYBYSZE Z MEKSYKU

Warszawski „Express Wieczorny” podał niedawno ze słusznym oburzeniem notatkę o francuskim śpiewaku Sardou, który chwali się, że jest faszystą, śpiewa o potrzebie i o pięknie przemocy, w udzielanych wywiadach domaga się „rządów silnej ręki” itd. Sardou jest mody i świetnie zarabia. W rzeczonej notatce czytamy jednocześnie takie zdanie:

„Osobny rozdział piosenki francuskiej, to wstrząsająca swą prostotą piosenka, nawiązująca do heroicznych czasów francuskiego Ruchu Oporu. Któż nie słyszał o wspaniałej plejadzie gwiazd, jak Mistinguette, Baker, Chevalier, Piaf”. Oczywiście wszyscy słyszeli o Chevalierze i o Edith Piaf, to byli wielcy artyści, ale lepiej chyba nie łączyć tych nazwisk jednym tchem z „heroicznymi czasami francuskiego Ruchu Oporu”, bo oni nie wspólnego z tym ruchem nie mieli i mieć nie chcieli. Być może, że czas już zapomnieć o wszystkim, że

„przyszedł walec i wyrównał”, ale przecież był czas w 1939 i 1940 roku, kiedy uroczy Moryc rozśmieszał Paryżan piosenką, że świat jest taki piękny, a durni Polacy giną dla jakiegoś tam Gdańska... To była bardzo uroczą piosenką, na szczęście nieznaną wtedy w okupowanej, głodnej i zmarzniętej Warszawie. Potem Paryż też dostał się pod okupację, ale Chevalier śpiewał dalej przez wszystkie lata, uświetniając swymi występami uczyń niemieckich dostojników. To samo robiła Edith Piaf. Zresztą w powojennym repertuarze obojga też nie było ani jednej „wstrząsającej” piosenki o ruchu oporu ani w ogóle o wojnie, co nawet wypada uznać za sui generis delikatność.

Skoro już mowa o sprawach niemieckich, to mam właśnie przed sobą książeczkę Boba Warda, wydaną przed rokiem w Monachium p.t. „Komisches Kosmiches — aus dem Humor-Archiv der NASA”. Książeczka jest zbiorem anegdot o ośrodku amerykańskich badań

kosmicznych, a jej racją istnienia jest apologia i popularyzacja wkładu uczonych niemieckich do dzieła podboju kosmosu. Słynny Werner von Braun, najpierw twórca raket „V-1” i „V-2”, potem współtwórca raket kosmicznych, występował tu oczywiście jako kryształowy, nieomal święty mędrzec, dobry opiekun i patron całej niemieckiej grupy. Specjalistów z Rzeszy „porwano” po zakończeniu wojny jako jeńców cywilnych. Już w roku 1949 postanowiono przyznać im obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, ale jak to zrobić? Przybycia ich nie odnotowano na żadnym punkcie granicznym, a więc byli gośćmi „nielegalnymi”. Wymyślono jednak sposób, godny estradowego skeczu: załadowano uczonych Niemców do autobusów i wywieziono po cichu do Meksyku, skąd następnie z szumem i legalnie przyjechali z powrotem do USA. Teraz już można było napisać w odpowiedniej ankiecie: „Przybył autobusem z Juarez w Meksy-

ku”. Śmieszne, ale autentyczne.

Najmłodszego z grupy specjalistów, niejakiego Waltera Wiesmanna, wybrano w 1952 roku prezesem wydziału izby handlowej. Monachijska księżeczka nie zapomina przy tym dodać, że Walter Wiesmann był oficerem lotnictwa III Rzeszy i że 70 proc. tych, co go wybierał prezesem, stanowili „leż weterani II wojny światowej, tylko z drugiej strony...”. Zupełna sielanka — przyszedł walec i wyrównał...

I dopiero na zakończenie książeczki prawdziwy, celny dowcip: Oto jeden z dyrektorów Ośrodka Badań Kosmicznych, polemizując z opinią, że koszt tych badań jest ogromny i nieproduktywny, powiedział tak: „Gdy Kolumb wyruszył w morze, czynił to z zamiarem poprawienia stosunków z Chinami. Jak widać panowie, problem ten do dziś nie został rozwiązany — ale ileż mieliśmy ubocznych korzyści z tamtego przedsięwzięcia!”

Nie zaniebujmy więc żadnych badań i dociekań, choćby z pozoru nie wydawały się opłacalne. A nuż niechcący wyłudziemy na jeszcze jednej części świata?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KINO NOCNE

Na początku wszystko było fajnie. Wiadomo było, że w kinie nocnym można będzie zobaczyć albo ociekający krwią kryminał, albo mroźny krew w żylach horror. Człowiek więc zdecydował się na czekanie do późnych godzin nocnych, zaliczając „po drodze” pozycje mniej interesujące, bo to się opłacało i w kinie nocnym wynagradzało trudny i ciężki. Ale ostatecznie coś popsuło się w kinie nocnym i to teraz oczekuje aż do północy, aby napaść oczu niesamowitościami, ten się srodze zawodzi.

Oczywiście nikt nie zapewniał, że w kinie nocnym muszą być tylko takie filmy, po których widzom odechce się spać, ale że kino nocne w roli usypiacza jest już kompletnym nieporozumieniem, gdyż znacznie wcześniej i szybciej może zasnąć przy wielu innych pozycjach naszej ukochniej telewizji. Znakomicie np. zapomniał się przy niektórych wieczornych audycjach rozrywkowych. Na rozrywkę do niedawna była w telewizji tylko jedna recepta: piosenka i balet okraszony w miarę dowcipnym, w miarę mądrym i w miarę jakimś komentarzem. Obecnie dokonano połączenia redakcji rozrywki i estrady radia i telewizji i tak narodziło się między innymi „Studio Gama”.

Urodził na studia jest w telewizji i radu niebawym. Radio ma na przykład słynne i bardzo dobrze zresztą pracujące „Studio S-13”, które zajmuje się spor-

tem. W telewizji jest „Studio Sport”, „Studio 8” i „Studio 2”. Teraz doszło „Studio Gama”. Właśnie kilka dni temu inauguracyjne swoje istnienie z Andrzejem Zaorskim w roli głównej. Dzięki temu, że radio połączyło się z telewizją — podobnie zresztą jak zrobiono to w sporcie — inny model rozrywki pojawił się w telewizji, o czym mogliśmy się przekonać na inauguracji „Studio Gama”. Wiadomo było od dawna, że radio dysponuje bardzo zróżnicowanym pod względem form i treści programem rozrywkowym. Od „Wesołego Autobusu” poprzez „Program z dywanikiem”, „Wieczorek przy mikrofonie” aż do „60 minut na godzinę” w programie trzecim. Są to w większości programy już z tradycją, mające swoich zwolenników i przeciwników, a co najważniejsze liczną rzeszę wiernych słuchaczy. W telewizji natomiast programy rozrywkowe od dawna są jednym ze słabszych punktów. Co się narodziło coś nowego — na przykład „Spotkanie z balladą”, czy „Parada blagierów” — co tylko znajdowało uznanie u widzów, to zaraz zniknęło z telewizyjnego ekranu. Tyle jakoś „Dobry wieczór, tu Łódź” zniknąć nie może, ale takie programy widać też są potrzebne.

Nie mam zamiaru już z góry przechwalać „Studio Gama”, ale warta pochwały jest sama myśl rozszerzenia pojęcia rozrywki, szukania nowych modeli progra-

mu rozrywkowego, nie ograniczając się tylko do piosenek i zwirowanych pomysłów scenograficznych, które do programu nie nie wnoszą i nie są w stanie ani przeszkodzić w odbiorze dobrej piosenki, dobrze wykonywanej, ani przesłonić braków złej piosenki i złego wykonania. „Studio Gama” zdaje się sugerować, że jego autorzy rozumieją, iż pomysłów trzeba szukać zupełnie gdzie indziej i okazało się, że nawet reportaż o Violetcie Villas, pokazanie „kuchni radiowej” i rozmowy o opolskim festiwalu mogą zmieścić się w programie rozrywkowym.

Bardzo dobrze jest, jeśli widz śledzący w wygodnym fotelu, ze szklanką herbaty albo kieliszkiem czegoś mocniejszego w ręku, oczekuje jednego widowiska, a zostaje zaskoczony i dostaje coś zupełnie innego do oglądania elekawskiego, co go tylko raduje i sprawia mu satysfakcję. Zresztą w ogóle oglądanie programu telewizyjnego jest ryzykiem, bowiem nigdy nie wiadomo, co kryje się za lakonicznym sformulowaniem przedrukowywanym przez codzienne gazety. Tylko niektóre — „Trybuna Ludu”, „Życie Warszawy” — uzupełniają programy krótkimi omówieniami najciekawszych i najbardziej wartościowych pozycji nadchodzącego tygodnia. Włączając telewizor najczęściej podejmuje ryzyko, spodziewając się, że albo program nas ucieszy, albo zanudzi na śmierć.

W ubiegłą niedzielę na przykład postanowilem obejrzeć niezwykle sympatycznego i lirycznego w piosenkach Karola Gotta, ale o to nagłe na scenie teatru, w którym występuje Karol Gott pojawił się Afrykańczyk — jak go nazwano — Afric Simon i dał popis takiej żywiołowości, zręczności, temperamentu, że aż przyjemnie było patrzeć. A potem znowu pojawił się uroczy Karol Gott i dalej śpiewał swoje spokojne i dostojne piosenki.

Wspominam o tym dlatego, że Karol Gott nie bał się połączenia ognia z wodą, nie bał się zestawienia obok siebie dwu różnych stylów, które z wzajemnej konfrontacji wyszły bez szwanku. Myślę, że nasza telewizja też nie powinna bać się różnorodności, kontrastów, śmiałych pomysłów. W końcu dysponuje tak już rozległym czasem emisji, dwoma programami, że może znaleźć miejsce i na programy bardziej kontrowersyjne, śmiałe, przeznaczone dla bardziej wyrobionego i wymagającego widza, który zdecydowanie się posiedzieć do późnych godzin nocnych, aby zobaczyć coś naprawdę interesującego. Jak na przykład kino nocne z prawdziwego zdarzenia, a nie film, który może iść o każdej godzinie dnia i który można pokazać wszystkim, nawet niemowlakom.

MARCIN RODAK

ANDRZEJ JÓZWIAK

POLOWANIE NA KRÓLIKI

Piękny majowy, niedzielny dzień. W parku dziesiątki delikatnie szumiących drzew i setki rozwrzeszczanych tranzystorów z Jarocką, Jantar, Rodowicz, Framarami, Krawczykiem i Rosiewiczem. Dobrze umięśnione dziewczyny — o których nany (nie wszystkim) poeta mówił: gdy się budziłem rano rzeźki i sny miewałem niekaralne, sprawiały to miłe, długonogie dziewczyny niemoralne — oczekują na kolejny start w pobliskiej dyskotecie. Obok dżinsowe chłopaki siedzą sobie prywatnie rozluźnieni, ale jak trzeba to mają ciało tygrysa. Nastroj pełnej sielanki, czyli jak mawiał Artur Schopenhauer o ludzkich dziejach: Semper eadem, sed aliter (zawsze to samo, ale inaczej).

Usiadłem na ławce, otworzyłem „Politykę” i zacząłem czytać arcyciekawą felieton Jerzego Waldorffa — publicysty, który erytykę czyli sztukę prowadzenia sporów opanował do perfekcji. W „Polowaniu z nagonką” Jerzy Waldorff pisze tak:

„Historie, którą piszę, można byłoby czytać jak pierwszej klasy romans kryminalny, gdyby nie to, że działa się pośród nas, a jej przebieg dał nowe przykłady metod stosowanych celem zniszczenia osób Bogu ducha winnych, lecz niewygodnych. Bohaterami negatywnymi wydarzeń byli dyrektor Agencji Artystycznej „Pagart” — Henryk Maksara oraz prezes Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków — Stefan Sułkowski, ofiarą zaś działacz i publicysta młody — Zbigniew Pawlicki. O Henryku Maksarze wiem tylko, że należy do osobliwej grupy ludzi dostojnych, których się przesuwają z jednego dyrektorstwa na drugie w nadziei, że na którymś okaza się wreszcie trochę potrzebnej kompetencji...”

Jest to historia, która wstrząsnęła środowiskiem muzycznym kraju. Mówiąc w syntetycznym skrócie: Zbigniewowi Pawlickiemu dyrektorowi Krajowego Biura Koncertowego (KKBK podlega „Pagartowi”) boszperano trochę w rozliczeniach z delegacji służbowych, sfalszowano rachunek kosztów podróży i na tej podstawie wywalono z roboty. W sumie chodziło o... 456 złotych. Czytałem sobie to erimonal-tango z mieszanymi uczuciami.

Nie wierzę w sataniczny demonizm dyr. Maksary, który — moim zdaniem — „podprowadzony” został przez swoich doradców, radców prawnych, i innych ekspertów. Niepotrzebnym chyba jest wykładanie przez publicystę — niewątpliwych zresztą — racji na zasadzie Winstona Churchilla, który o swoich przeciwnikach wręcz stwierdzał: koncentrują się tylko na tym, by nie podejmować decyzji, ich energia skupia się na tym, aby nic nie robić, są niezłomni tylko wtedy, gdy płyną z prądem, są wszechmocni jedynie w swojej impotencji. O ile wiem podobno SPAM powołał do zbadania tej sprawy komisję, co jest sprawą o tyle długotrwałą i pracochłonną co — w tym konkretnym przypadku — zbudna, bowiem Okręgowy Sąd Pracy oczyścił Zbigniewa Pawlickiego z zarzutów i przywrócił go w funkcji dyrektora Krajowego Biura Koncertowego. Ale my wierzymy tylko i wyłącznie w wyniki pracy komisji: grupy osób w zasadzie nie przygotowanych, powołanych przez niezbyt kompetentnych ludzi, do wykonywania zadań w zasadzie niepotrzebnych. Ale a'propos. Co to jest słoń? Jest to zwykły polski koń po zatwierdzeniu przez wszystkie komisje.

Obok mnie dwóch małych chłopczyków bawi się w piaskownicy i tak sobie dyskutuje:

Chłopczyk I: He masz lat? Trzy czy pięć?

Chłopczyk II: Nie wiem: I: Papierosy palisz?

II: Tak!

I: Brzydkie słowa znasz?

II: Tak!

I: Dziewczyny podrywasz?

II: Nie!

I: To masz trzy.

W odpowiedzi na ten wypowiedziany — autorytatywnym tonem werdykt młodszy chłopczyk sypnął starszemu piaskiem w oczy i uciekł. Potwierdził tym tezę Schopenhauera, że obaj dyskutanci muszą być mniej więcej równi sobie pod względem erudycji i inteligencji. Jeżeli jednemu z nich brakuje pierwszej, to nie zrozumie wszystkiego, nie będzie na poziomie (na poziomie). Brak inteligencji natomiast — cytując nadal filozoficzny

Schopenhauerowski tok myślenia z pogranicza logiki i retoryki — doprowadzi go do rozgoryczenia, a w końcu do grubiaństwa. I tak też się stało.

Alejką obok przeszedł sympatyczny — oczywiście, niewątpliwie — facet, który biega ostatnio po Łodzi i chwali się, że ma zatarg z mną ponieważ w felietonie „PISZ PAN: GRAJEK!” pisałem właśnie o nim. Jest to oczywiście nieprawdą, natomiast prawdą jest, że Schopenhauer pisał o nim, chociaż go osobiście nie znał. Pisze się żartobliwy w treści felieton o wymyślonej fabule wielkanocnej, oddaje się do druku tydzień... przed świętami, a potem zjawia się człowiek i twierdzi, że jest obrażony, bo to o niego chodzi. Okazuje się, że niekiedy „życie jest kabaretem, więc do kabaretu wstąp...” i co ciekawsze już zaczynają ustawiać się koleiki. Jak fama głosi niedługo „zaśpiewa” nam to również Kazimierz Dejmek, jeśli uda mu się przejąć wszelkie przeszkody (finansowe), bariery (psychiczne) koleiny i szczyby na drodze do wystawienia w Łodzi, słynnego szlagieru KABARET. To dopiero będzie bomba!

Odrożyłem „Politykę” i wziąłem do rąk „Kulturę” z artykułem Małgorzaty Komorowskiej „Uczciwość pokalana”. Czytam: „uderzenie w Pawlickiego jest uderzeniem w Krajowe Biuro Koncertowe, jak poprzednio nagle odejście Bohdana Wodzieckiego było uderzeniem w Teatr Wielki, odejście Kazimierza Korda — uderzeniem w WOSPR i TV odejście Janusza Cegieli — uderzeniem w muzykę w Telewizji. Kultura jest alchemia. Jeden mały składnik przesada o wartości danego kulturalnego stopu, czyli o jakości działania danego organizmu artystycznego. TYM MAŁYM SKŁADNIKIEM BYWA WŁAŚCIWY CZŁOWIEK NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU” (podkr.: A.J.). Czyżby kompetencja zaczynała być cechą niebezpieczną? Jeśli kompetencja zaczyna być cechą niebezpieczną wtedy do głosu dochodzą teorie pomocnicze: „Teoria jednego strzyżonej trawy” (Jeżeli jedna z traw wyrasta ponad pozostałe, wtedy przyjeżdża maszyna do cięcia trawy i ścina do poziomu) oraz „Teoria cielecego zachwyty” (Pracuj nie budź w swym środowisku cielecego zachwyty).

Słońce powoli zachodziło. Długonogie dziewczyny poszły już do dyskoteki. Wracając z parku przez chwilę zastanowiłem się czy można pisać otwarcie, odważnie i szczerze i nie mieć z nikim zadrążeń. To tylko H. Stern dwuznacznie przestrzegając, że jeśli polujesz na króliki w rejonie tygrysów, musisz ciągle uważać na tygrysy, lecz jeśli polujesz na tygrysy, to na króliki możesz nie zwracać uwagi. Ale jak tu odróżnić królika od tygrysa?

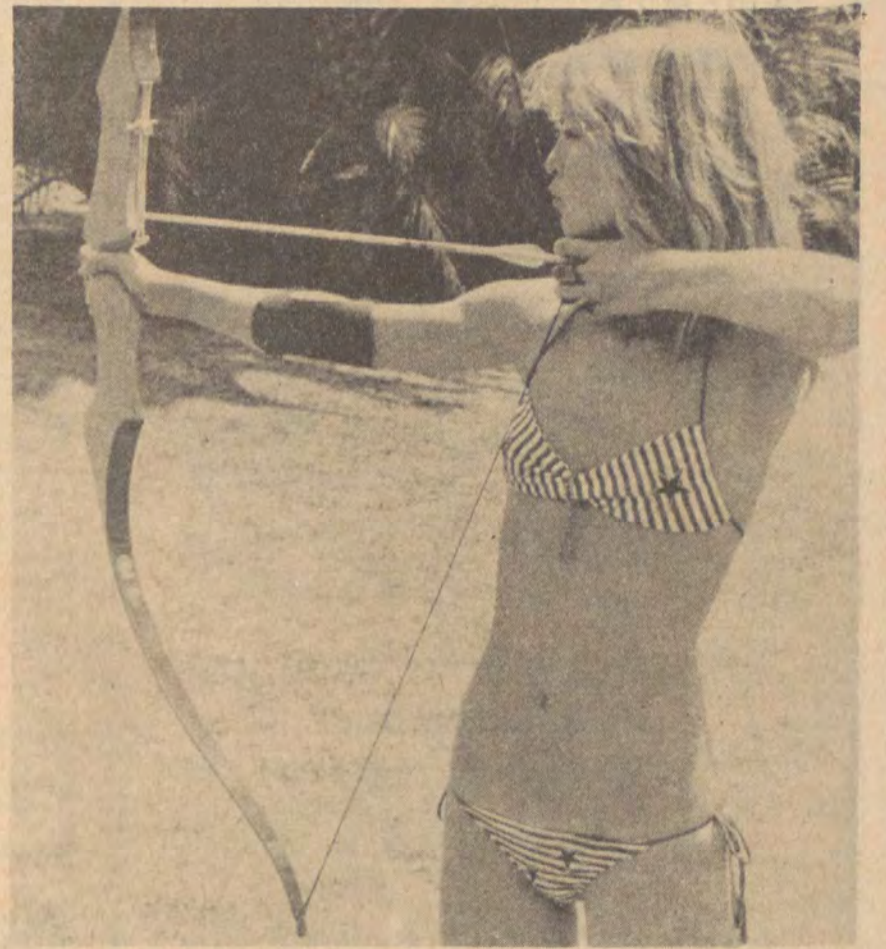


Foto: Archicum

FELIKS RAJCAK

LIMERYKI SIERADZKIE

Chciała raz pewna publicystka
Opisać Sieradz. I to z bliska.

Wstąpiła do wojewody.
I pióro jej pełne wody
Nie zatopiło środowiska.

* * *
Raz na plener plastyczny w Sieradzu
Przybył malarz bez brody i stażu.
Choć na niskich obcasach,
Obrazil mecenasa —
Nie zostawił żadnego obrazu.

* * *
Warto przypomnieć, tak by rymu nie psuć,
Gest sieradzanki — słowa bez kompleksów:
„Prosimy o Sieradz
Gęby nie wycierać!
Temu niech służą ręczniki „Zwoltextu”.

WYPISY ŁÓDZKIE

(9)

ANDRZEJ ZAND

Z ŻYCIA DAWNYCH MIESZCZAN ŁÓDZKICH

Pracowicie i monotonnie płynęło ludziom życie w dawnej Łodzi. Mieszczanie dzielili swój czas między pracą na roli a gospodarką rybną, warzeniem piwa a rzemiosłem i handlem. Świadczą o tym Księgi Radzieckie¹⁾, które odbijają wyraźny stan posiadania i sposób życia mieszczan.

Według spisu z roku 1534 na 82 mieszczan było sześciu karczmarzy, czterech kołodziejów, dwóch szewców do czego dodać nam jeszcze wypadnie dwóch kowali, jednego krawca i jednego zduna. Prócz rolnictwa zajmowano się także gospodarstwem rybnym. Znacznie intensywniejsze było trzódnienie się mieszczan łódzkich warzeniem piwa.

Życie miasteczka upływało na jednostajnych kłopotach, wynikających z pracy na roli i rękodzielnictwa. Toteż każda niepowodzenia sprawa stawała się dla mieszczan pożądaną rozrywką i skrętnie ją też w Księgach Radzieckich notowano.

Bakalarz łódzkiej szkoły w stanie niezbyt trzeźwym zaatakował nożem jednego z mieszczan łódzkich. A ponieważ ów pedagog, którego akta nazywają „młodzieńcem szkolnym” znikł po fakcie z miasteczka, wobec tego urząd zmusił braci jego do za-

placenia poszkodowanemu odszkodowania.

Dwaj obywatela — Stanisław Mróz i Stanisław Śwignia — zostali oskarżeni przed sądem biskupim o ważne przestępstwo. Wobec daty — 1533 rok — można się tylko domyślić, że chodziło tu prawdopodobnie o „herezję”, czyli o sprzyjanie reformatorskim nowinkom. Obu mieszczanom groziło wydalenie z miasta, gdyż biskup rzucił na nich kłótnię. Wówczas cały urząd miejski z burmistrzem i radą, z wójtem, ławą i całym pospólstwem wniosł za pośrednictwem dzierżawcy klucza niesukłowskiego prośbę do Włocławka o uwolnienie obu i zaświadczył o ich niewinności. Interwencja odniosła, jak się zdaje, pomyślny skutek i obaj powrócili cało i zdrowo do miasteczka.

Miasteczko przeżywa pożar, przypuszczalnie w roku 1666, a jeszcze przedtem, w roku 1661 nawiedza je ciężki kryzys w związku z wojną szwedzką i zarazą morową. Stan też bezpieczeństwa w mieście uległ z końcem tegoż wieku zmianie na gorsze. Zdarzają się coraz gwałtowniejsze awantury, jak na przykład w roku 1696, kiedy to gromada podpiętych

na jarmarku chłopów z Modrzewia, Skotnik i Łagiewnik rzuciła się na kramarzy, przeważnie Żydów lutomierskich i mieszczan łódzkich, tak katolików jak i przypuszczalnie protestantów, poraniła ich, zniszczyła im towary, wypła trunki i zniknęła bezkarnie z miasta. Miasteczko nie ma siły, by pijanych awanturników zatrzymać i ukarać i zwraca się do ich bezpośrednich zwierzchników, to znaczy dziedziców odnoszących wsi z prośbą o ukaranie winowajców.

Lecz największą sensacją musiał być dla ówczesnych łodzian proces o czary w 1652 roku. Zdarzyło się, że jedna z mieszczek łódzkich, Zofia Strazybotka, należąca do starej rodziny łódzkiej, została oskarżona o uprawianie czarów. Na wieść o tym urząd miejski kazał ją pochwytać i postawić przed swe oblicze. Dnia 8 czerwca 1652 roku zebrali się w komplecie władze miejskie, a więc wójt z ławą, i burmistrz z radą. Zofia została oddana mistrzowi na tortury.

Podniesiona na kółku w górę czarownica zeznała, że właściwie nie jest czarownicą, lecz że przed czarami właśnie chciała się uchronić. Piekla na małym rożnie żaby pochwycone

na wiosnę i tak spreparowane stworzenia chciała zawiesić nad bydłem: miał to być sposób ochrony krów przed „odjęciem” im mleka. Nie daje jednak wiary surowy sąd i ponawia „kwestie”. Męczona dalej „czarownica” dostaje ataku, mdleje, śmieje się, przeklina, bije na osłep, lecz mimo zabiegów mistrza (kata) nie chce niczego zeznać. Sama się wreszcie zadusiła, a urząd kazał martwą zakopać na gruncie miejskim.

Jak widać z akt urzęd miał głębokie przekonanie o jej winie, bo wszakże jeden z sąsiadów zeznał, że widział jak chodziła po wodę, a wracając rozlewała ją umyślnie i chodziła tyłem do plotu... Inny zaś obywatel, brat czarownicy, stwierdził, iż jest ona niegodna niczego innego, jak tylko spalenia na proch.

Proces ten rzuca ciekawe światło na umysłowość mieszczan ówczesnych i świadczy o tym, że w oddalonej od centrów cywilizacji i kultury małej Łodzi, istniały jednak te same poglądy jakie były charakterystyczne dla umysłowości całej Europy — w tym wieku wielkich wojen, wielkich ludzi, wielkich myślicieli i... wielkich masowych obłądanych sugestii.

Tych kilka, wybranych z przeszłości rysów, mamy nadzieję, zbliżyć może Czytelnika do wielce ograniczonego światka małego miasteczka, za którego do świtu do nocy żmudną pracą i troską o byt powszedni, dla którego jedynym wytchnieniem i rozrywką było przypadkowe zbiegowisko uliczne, kłótnia i bójka, wreszcie udział w rozstrzygnięciu spraw miejskich, a wydarzeniem o jakim zapewne opowiadali jeszcze dziadkowie

swym wnukom — był proces taki, jak ów o czary.

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI

Praca powyższa stanowi fragment książki Andrzeja Zanda „Z dziejów dawnej Łodzi”, wydanej w roku 1929 nakładem Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi.

1) Dr Józef Siemiński tak pisał o Księgach dawnej Łodzi. Pierwszą księgę miasteczką łódzką zaczęto prowadzić w roku 1477, a zakończono w roku 1527. Nie wiadomo przez kogo księga była prowadzona. Pisało ją wiele rąk. Jest to księga tak zwanych transakcji wieczystych dokonywanych już to przed radą lub przed ławą. Jest zatem księga tak zwanego sądownictwa niespornego, przeznaczona do rejestrowania transakcji. Księga pisana jest po łacinie. Zawiera jednakże parę zapisków po polsku i to właśnie najciekawszych. Księgę drugą rozpoczęto w roku 1528 a zakończono w roku 1598. Księgę trzecią rozpoczęto w roku 1602 i doprowadzono do roku 1636. Ostatnia księga, siódma z kolei, to plik złożony z 24 dokumentów, zakończony na roku 1835.

Dr Siemiński był zachwycony Księgami Miejskimi Łodzi i radził, aby je tłumaczyć i przedrukowywać sukcesywnie, ponieważ stanowią one materiał źródłowy dużej wartości.

„Nie dowiemy się z tych ksiąg — pisał dr Siemiński w roku 1925 — żadnych wielkich rzeczy. Ale dowiemy się rzeczy dotychczas nie badanych i dlatego nieznanych, a podstawowego znaczenia dla społeczeństwa dzisiejszego.

Dr Siemiński sądził, że „w Łodzi, miasteczku ciężkiej pracy, będzie to zrozumiane lepiej niż gdziekolwiek”.

Niestety, do dnia dzisiejszego nikt nad Księgami Miejskimi dawnej Łodzi nie pracuje. O wydaniu ich w druk, choćby dla zachowania ich dla potomności — nikt nie myśli.

Tu uważa — w archiwum łódzkim znajduje się jedynie księga przekazana Łodzi przez prof. J. K. Kochanowskiego. Pozostałe księgi radzieckie dawnej Łodzi spoczywają w archiwum głównym warszawskim.

H.R.